

Stowarzyszenie Absolwentów
Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu

Biuletyn Absolwenta *nr 63*



*„Wiosno, ptak mi ciebie
wyśpiewał...”*

MARZEC 2015

Spis treści

Od redakcji	3
<u>Z życia uczelni</u>	
Spotkanie studentów z profesorem Janem Chmurą	4
Uroczystość zakończenia kariery sportowej Renaty Mauer – Różańskiej	5
Konferencja naukowa Katedry Sportu Osób Niepełnosprawnych	5
Akademia Wychowania Fizycznego we Wrocławiu jest na 7 miejscu w Polsce	6
Spotkanie opłatkowe JM Rektora z Seniorami Uczelni	7
Spotkanie wigilijne	7
Złoty medal, wyróżnienie i nagroda specjalna między innymi dla prof. dr hab. Piotra Dzięgiela z Wydziału Fizjoterapii	8
Zeszyt Historyczny AWF we Wrocławiu – Nr 6 – 2014	9
Spotkanie z Aleksandrem Lwowem	10
<u>Z życia organizacji</u>	
Spotkanie opłatkowe	11
Wieczór kolęd	14
Navigare nacesse est... ..	15
Realizacja preliminarza Stowarzyszenia Absolwentów AWF Wrocław za rok 2014	25
Projekt preliminarza Stowarzyszenia Absolwentów AWF Wrocław na rok 2015	26
Honorowa lista wszystkich sponsorów roku 2014	27
VI Integracyjny Turniej „BULE SOFT – 2015”	28
Nasz człowiek na Mistrzostwach Świata w Piłce Ręcznej Mężczyzn	29
Zapowiedzi planowanych zjazdów	33
Komunikaty	34
Wystawa prac Izabelli Degen	35
<u>Zjazdy rocznikowe</u>	
Wehikuł czasu - zjazd rocznika 1994	37
<u>Sylwetki</u>	
Nasi absolwenci, olimpijczycy	41
<u>Wspomnień czar</u>	
Sowieci Litwini Sowieci	45
Przygoda z jeździectwem	49
<u>Pro memoria</u>	
Tadeusz Teichert (1944 – 2015)	52
Prof. dr hab. n. med. Zbigniew Jethon (1929 – 2015)	55
Wspomnienie o Krystynie Stachowskiej	56
<u>Listy</u>	
Życzenia	57
<u>Sport</u>	
Polski Komitet Olimpijski, początki... ..	60
Plebiscyt na najlepszego sportowca i trenera AWF	61
60 lat Kroniki Sportowej	63
<u>Wiersze</u>	
Wiersze	64
<u>Humor</u>	
Olejnica w anegdocie – z notatnika Henryka Nawary	65
Anegdoty	65
Terminarz spotkań w Dworze Polskim	67

Od redakcji

Oddajemy do Waszych rąk kolejny numer biuletynu Stowarzyszenia. Jak to się dzieje, że od wysłania poprzedniego minęło ledwie kilka chwil, a w kalendarzu zerwaliśmy już kolejnych 90 kartek. Wprawdzie jeden z najmądrzejszych ludzi powiedział kiedyś, że czas jest rzeczą względną. Ale czemu w swej względności raczej przyspiesza, a nie zwalnia. Przecież kiedyś znajdowaliśmy czas na normalną pracę, na powrót z niej tramwajem do domu, na wspólny obiad z rodziną, na jakiś spacer, wyjście do kina, do przyjaciół na karty... Nieraz rozmawiałem na ten temat ze znajomymi w różnym wieku, z różnych pokoleń, i okazuje się, że czas przyspieszył każdemu, niezależnie, czy chodzi do szkoły, pracuje, wychowuje dzieci, jest samotny. Co powoduje, że wciąż gdzieś musimy się spieszyć, że ciągle dokąś lub z czymś jesteśmy spóźnieni. Każdy z nas ma na ten temat pewnie własne przemyślenia.

Skok technologiczny, jaki nastąpił w ostatnich dekadach teoretycznie miał dać nam więcej czasu dla siebie. W ciągu ostatnich 50 lat wymyślono więcej niż przez wcześniejsze tysiące lat. Ale czy faktycznie dzięki mechanizacji, komputeryzacji mamy więcej czasu na zwykłe BYĆ. Czy przypadkiem pogoń za tymi wszystkimi dobrami ułatwiającymi życie nie odbiera nam samego życia. Badania opinii publicznej potwierdzają, że poziom naszego życia wciąż idzie w górę. Tylko który poziom? Materialnie chyba jest lepiej (przynajmniej statystycznie). Ale przecież już dawno stwierdzono, że nie otaczanie się wspaniałymi przedmiotami, nie gromadzenie dóbr dają szczęście. To kontakt z drugim człowiekiem, wspólne przeżywanie, doświadczanie, tworzenie, pomaganie innym – sprawia, że jesteśmy realnie szczęśliwsi.

Mam nadzieję, że nasze Stowarzyszenie Absolwentów choć trochę pozwala nam doznawać takich momentów, w których jesteśmy wśród ludzi, których znamy, lubimy, wśród przyjaciół. Czy to dzieląc się opłatkiem na spotkaniu grudniowym, czy też smakując pieczonego prosiaka pod kasztanami w maju, czy dyskutując na każdy temat na spotkaniach w Rynku. A czytając nasz biuletyn, czy nie jesteśmy również bliżej siebie nawzajem. Czy w losach i opowieściach innych nie odnajdujemy siebie i nie przeżywamy swoich własnych historii.

Życzę więc wszystkim nam więcej czasu na spotkanie i kontakty z bliższymi i dalszymi znajomymi. Znajdźmy siły na wspólne wyjście do parku, na mecz, koncert, do galerii i wspólnie pocujmy przyjemność ŻYCIA i BYCIA.

Z życia uczelni

Spotkanie studentów z profesorem Janem Chmurą



Prof. Jan Chmura w otoczeniu studentów

Interesujący i aktywny przebieg miało zrealizowane w dn. 19 listopada 2014 r. spotkanie studentów kierunku Sport z pracownikiem naszej Uczelni prof. dr hab. Janem Chmurą. Seminarium poświęcone było omówieniu jednego z największych tegorocznych wydarzeń sportowych, mającego zasięg ogólnosiwiatowy –

biegu maratońskiego w Nowym Jorku.

Uczestnictwo naszego znakomitego dydaktyka i naukowca w tym dużym wydarzeniu sportowym, w którym wzięło udział ponad 50 tys. biegaczy z ok. 100 krajów, zakończyło się sukcesem. Profesor Jan Chmura nie tylko ukończył bieg, ale wyprzedził na mecie 44 tys. 237 zawodników (!), w tym wielu znacznie od siebie młodszych. W mocno obsadzonej kategorii wiekowej, w której startowało ponad 400 biegaczy, reprezentant naszej Uczelni zajął 11 miejsce z czasem 3:39:33 sek. Warto zaznaczyć, że tegoroczny Maraton Nowojorski zrealizowany był w ekstremalnych warunkach klimatycznych jakich dotąd nie rejestrowano w historii tego biegu. Zawodnicy pokonywali dystans przy bardzo silnym wietrze wiejącym z prędkością do 75 km/godz. i temperaturze ok. 0 C. Tego rodzaju utrudnienia, w połączeniu z dużą różnicą poziomów trasy biegu miały znaczący wpływ na wynik końcowy wszystkich sportowców, łącznie ze zwycięzcą maratonu Kenijczykiem Wilsonem Kipsangiem.

Zmęczony, utrudzony, ale szczęśliwy prof. Jan Chmura prezentując z dumą okazały pamiątkowy medal w taki sposób wspomina swój udział w tym trudnym przedsięwzięciu: „Jestem pod ogromnym wrażeniem liczby startujących (rekordowa liczba uczestników), wyjątkowej atmosfery biegu i jego wzorowej organizacji. Zdobyłem wiele nowych doświadczeń, a także uzyskałem dużo ciekawych i cennych informacji wynikających z badań fizjologiczno-biochemicznych, które przeprowadziłem na własnym

organizmie...” Liczne i różnorodne pytania uczestników spotkania oraz niekłamany podziw dla uczestnika tego ekstremalnego wyzwania złożyły się na interesujące i przebiegające w żywej atmosferze spotkanie.

Henryk Nawara

Uroczystość zakończenia kariery sportowej Renaty Mauer – Różańskiej



Fot. H. Nawara

Na zdjęciu z uroczystości od lewej: Juliusz Migasiewicz, Renata Mauer-Różańska, Andrzej Rokita i Kazimierz Witkowski

W piątek 7 listopada 2014 r. na strzelnicy przy ul. Świątnickiej odbyło się uroczyste zakończenie kariery Renaty Mauer-Różańskiej. W uroczystości tej brali udział przedstawiciele wielu środowisk, w tym także władze naszej Uczelni z Rektorem prof. dr hab. Juliuszem Migasiewiczem. Nadmienić należy, iż była zawodniczką jest pracownikiem Akademii

Wychowania Fizycznego we Wrocławiu.

Nasza znakomita zawodniczka jest jedną z najbardziej utytułowanych polskich sportswomen. Ma na koncie dwa tytuły mistrzyni olimpijskiej (1996 i 2000), a także brązowy medal olimpijski (1996). Ponadto jest trzykrotną medalistką mistrzostw świata oraz sześciokrotną medalistką mistrzostw Europy. Jej wieloletnim trenerem był Andrzej Kijowski.

Redakcja

Konferencja Naukowa Katedry Sportu Osób Niepełnosprawnych

W dniach 5 – 6 grudnia 2014 roku odbyła się VII Ogólnopolska Konferencja Naukowa z udziałem gości zagranicznych „Aktywność ruchowa osób niepełnosprawnych”, pod honorowym patronatem JM Rektora Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu prof. dr hab. Juliusza Migasiewicza.



Władze Uczelni na konferencji, od lewej: Zdzisław Paliga, Andrzej Bugajski, Tadeusz Koszczyc, Juliusz Migasiewicz, Eugeniusz Bolach, Marek Woźniewski i Andrzej Rokita

Zorganizowała ją Katedra Sportu Osób Niepełnosprawnych.

W programie konferencji znalazły się tematy omawiające sport wyczynowy, rekreację i turystykę osób niepełnosprawnych, aktywność ruchową adaptacyjną, zagadnienia integracji w wychowaniu fizycznym i sporcie oraz pokazy sportowe. Wśród prelegentów znaleźli się goście z Niemiec, Czech,

Słowacji, Białorusi i Ukrainy oraz głównych ośrodków zajmujących się tą tematyką, między innymi AWF Warszawa, AWF Poznań, AWF Kraków, AWF Katowice i AWF Gdańsk. Funkcję Przewodniczącego pełnił Prof. dr hab. Eugeniusz Bolach.

Redakcja

Akademia Wychowania Fizycznego we Wrocławiu jest na 7 miejscu w Polsce

Akademia Wychowania Fizycznego we Wrocławiu, według informacji Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, jest na 7 miejscu w Polsce wśród uczelni pod względem liczby kandydatów na jedno miejsce, którzy ubiegali się o przyjęcie na studia stacjonarne pierwszego stopnia i jednolite studia magisterskie w ostatnich czterech latach.

Redakcja

Spotkanie opłatkowe JM Rektora z Seniorami Uczelni

17 grudnia 2014 roku miało miejsce opłatkowe spotkanie JM Rektora z Seniorami naszej Uczelni, organizowane wspólnie z Centrum Historii Uczelni. Spotkania te zostały zapoczątkowane w 2004 r., przez ówczesnego rektora prof. dra hab. Tadeusza Koszczycy.



JM Rektor składa życzenia seniorom

Spotkanie jak zwykle miało bardzo ciepły i refleksyjny charakter, a dopełnieniem nastroju był bardzo piękny występ „Kaliny” - Zespołu Tańca Ludowego AWF Wrocław.

Henryk Nawara

Spotkanie wigilijne



Życzenia pracownikom Uczelni składają, od lewej: Anna Skrzek, Juliusz Migasiewicz, Zofia Ignasiak, Andrzej Rokita

W dniu 19 grudnia 2014 roku na spotkaniu Wigilijnym JM Rektor Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu Prof. dr hab. Juliusz Migasiewicz podziękował wszystkim tym, którzy przyczynili się do sukcesów uczelni, następnie złożył życzenia pracownikom naszej uczelni, życzył wiele zadowolenia i sukcesów z podjętych wyzwań, radosnych Świąt Bożego

Narodzenia przepełnionych spokojem, miłością i rodzinnym ciepłem, a w Nowym 2015 roku pomyślności i szczęścia, wytrwałości w dążeniu do celów oraz wiele sukcesów.

Redakcja

Złoty medal, wyróżnienie i nagroda specjalna między innymi dla prof. dr hab. Piotra Dzięgiela z Wydziału Fizjoterapii

W dniach 13-15 listopada 2014 r. w Brukseli odbyły się 63 Targi Wynalazczości, Badań Naukowych i Nowych Technologii „Brussels Innova”, podczas których Wrocławskie Centrum Badań EIT+ zaprezentowało m.in. wynalazek: „Sposób wykrywania obniżonej podatności na przeciwnowotworową chemioterapię adjuwantową u pacjentek z rakiem gruczołu piersiowego”. Wynalazek ten został również zgłoszony do odbywającego się na tych targach konkursu EUREKA. Autorami zgłoszonego rozwiązania są m.in. pracownicy Katedry i Zakładu Histologii i Embriologii Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu: dr hab. Marzenna Podhorska-Okołów prof. nadzw., dr Agnieszka Gomułkiewicz, mgr Mateusz Olbromski oraz **prof. dr hab. Piotr Dzięgiel z Katedry Fizjoterapii i Terapii Zajęciowej w Medycynie Zachowawczej i Zabiegowej Wydziału Fizjoterapii Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu.**

W ramach konkursu, grono 90 ekspertów z Belgii oraz innych krajów, pod przewodnictwem jury z Olivierem Nagelmackersem, ekspertem biznesu na czele, dokonało oceny zaprezentowanych wynalazków. Najlepszym pomysłem naukowców z całego świata przyznano nagrody i medale. Rozwiązanie pracowników Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, dotyczące zastosowania nowego sposobu oceny predykcyjnej w rakach gruczołu piersiowego, zostało nagrodzone złotym medalem ze specjalnym wyróżnieniem jury, a także nagrodą specjalną przyznaną przez Stowarzyszenie Wynalazczości z Tajwanu (Taiwan Prominent Inventor Association) zrzeszające ponad 2000 członków na całym świecie. Jak zaznaczył prof. Piotr Dzięgiel, wynalazek naukowców z naszej uczelni w przyszłości może zaowocować nowym podejściem w terapii raków gruczołu piersiowego oraz poprawić efektywność leczenia guzów nowotworowych różnych narządów.

Redakcja

Zeszyt Historyczny AWF we Wrocławiu – Nr 6 – 2014

W styczniu ukazał się szósty numer Zeszytów Historycznych AWF we Wrocławiu, tym razem poświęcony naszemu nieodżałowanemu koledze i przyjacielowi Ryszardowi Jezierskiemu. Tom ukazał się pod redakcją dr hab. Wojciecha Wiesnera.



JM Rektor prof. Juliusz Migasiewicz w słowie wstępnym napisał, że Doktor Ryszard Jezierski pozostawił nie zatarte wspomnienia człowieka wielkiego serca i zawsze gotowego do życzliwej pomocy, energicznego i aktywnego - nauczyciela, społecznika, kolegi i duszy towarzystwa.

Prezentowane w Zeszycie materiały podzielone zostały na rozdziały zawierające teksty bliskich, przyjaciół i absolwentów: 1.) *Gimnastyka sportowa* – Antoniego Kaczyńskiego i Lidii Kameckiej-Paszek; 2.) *Praca na AWF* – Antoniego Kaczyńskiego, Anny Rybickiej i Henryka Nawary; 3.) *Olejnica* – Henryka Nawary, Przemysława i Radosława Jezierskich; 4.) *Stowarzyszenie Absolwentów* – Ryszarda Jezierskiego, Tadeusza Bobera i Antoniego Kaczyńskiego; 5.)

Aktywność na rzecz kultury fizycznej w środowisku – Lesława Kulmatyckiego; 6.) *Wspomnienia najbliższych* – Katarzyny Jezierskiej, Elżbiety Jezierskiej, Przemysława i Radosława Jezierskich, Ali Jezierskiej i Kuby Jezierskiego; 7.) *Wspomnienia przyjaciół i absolwentów* – Antoniego Kaczyńskiego, Tadeusza Bobera, Stanisława Maksymowicza, Stanisława Szczepańskiego, Marii Grabowskiej, Karmeny Stańkowskiej, Jadwigi Świętochowskiej, Haliny Jezierskiej, Zbigniewa Najsarka, Adama Szymczaka, Zbigniewa Cendrowskiego, Jerzego Kosy, Waldemara Wójcika i Grażyny Skoczylas-Krakowiak; 8.) *Dorobek naukowy* zawierający obszerny wykaz publikacji Ryszarda Jezierskiego; 9.) *Kalendarium* opracowane przez Rafała Szuberta, dokumentujące najważniejsze wydarzenia z życia Uczelni w roku akademickim 2013/2014.

Opracowanie zawiera dużą liczbę fotografii, które pochodzą ze zbiorów Centrum Historii Uczelni, a także udostępnionych przez żonę Elżbietę Jezierską i autorów tekstów.

Halina Jezierska

Spotkanie z Aleksandrem Lwowem



Aleksander Lwow podczas spotkania

Dnia 19 lutego 2015 roku z inicjatywy Dziekana Wydziału Wychowania Fizycznego Pani prof. Krystyny Zatoń w murach naszej Uczelni, odbyło się spotkanie z Aleksandrem Lwowem.

Aleksander Lwow był uczestnikiem wypraw w Himalaje i Karakorum. Wspinał się także w Hindukuszu, Pamirze, Andach i TienSZanie. Jest autorem pierwszego polskiego, i jak dotąd, najszybszego w historii (7 godzin, samotnie) wejścia na Pumori. W 1991 roku zorganizował i kierował

międzynarodową wyprawą Polish Jack Wolfskin Everest Expedition. Zdobyte ośmiotysięczniki przez Aleksandra Lwowa to: Lhotse (8516 m n.p.m.), Manaslu (8156 m), Cho Oyu (8201 m), Gaszerbrum II (8035 m). Jest redaktorem miesięcznika "Góry i Alpinizm" (GiA), autorem książek między innymi: Wybrałem góry (1990), Zwyciężyć znaczy przeżyć (1994), wyd. II (2002), Zwyciężyć znaczy przeżyć. 20 lat później (2013).

Ciekawa, pełna interesujących przykładów prezentacja, spotkała się z żywym, ciepłym i dużym zainteresowaniem ze strony naszych pracowników, studentów oraz osób spoza naszego środowiska.

Redakcja

Z życia organizacji

Spotkanie oplatkowe



Fot. H.Sienkiewicz

Udekorowany przedświąteczny Rynek

W tygodniach poprzedzających Święta Bożego Narodzenia wiele się działo na wrocławskim Rynku. Udając się na spotkanie do Dworu Polskiego, obserwowaliśmy powstającą ogromną scenę przygotowywaną na powitanie Nowego Roku. I, jak każdej zimy, Rynek zamienił się w piękny, barwny jarmark świąteczny, którego stragany

przyciągnęły tłumy wrocławian. W tym roku, ze sceny ustawionej na placu Gołębim przy wrocławskiej choince, zapraszano do wspólnego kolędowania. Chciało się zostać, ale...nasze przedświąteczne spotkanie czekało.

Przed pięknie udekorowaną salą gości witali Jaga Świętochowska i Adam Sudoł. Jak co roku, skarbnik Ryszard Helemejko przyjmował składki. Tym razem towarzyszyła mu Inka Warężak co sprawiło, że jeszcze przed składaniem życzeń uporał się z tym zadaniem. Liczyliśmy na liczny udział w tym spotkaniu, i nie zawiedliśmy się, a szczególnie na roczniku 1965, którego kilkunastoosobowa grupa zajmowała swoje stałe miejsce. Władze Uczelni reprezentowała Prorektor do Spraw Badań Naukowych i Współpracy



Fot. H.Sienkiewicz

Jaga Świętochowska i Adam Sudoł

Fot. H. Sienkiewicz



Halina Jezierska i Władysław Kopyś

Międzynarodowej prof. dr hab. Zofia Ignasiak. Na spotkanie przybyła, po raz pierwszy, liczna grupa absolwentów Uniwersytetu Trzeciego Wieku AWF. Grupa ta utworzyła koło przy Stowarzyszeniu Absolwentów AWF.

Prezes Władysław Kopyś i Halina Jezierska ciepłymi słowami powitali zebranych i życzyli pięknych Świąt Bożego

Narodzenia w zdrowiu, spokoju Ducha, szczęścia osobistego i rodzinnego oraz wszelkiej pomyślności w nadchodzącym Nowym 2015 Roku. Zaprezentowali też jedną z miniatur Izabelli Degen, które wraz z życzeniami otrzymaliśmy od naszej absolwentki:

w świątecznym kosmosie
pełnym iluzji
i namiastek szczęścia
niechaj gwiazdka wigilijna
tych skłóconych zjedna.

A potem nastąpiły uściski oraz serdeczne i gorące życzenia, którym nie było końca. I w tak radosnym klimacie rozpoczęliśmy nasze opłatkowe spotkanie, przy pałaszowanych ze smakiem - barszczu z krokietem, pierogach, śledziku i świątecznych ciastach.

Nastrój opisali rymem Albina i Bronisław Pietrasowie:

Wigilia 2014 r.

*Nad miastem zapadł zimny wieczór
I gwiazdy świeciły na niebie
Halinka Jezierska w Dworze Polskim
Szykuje Świąteczną Wieczerzę*

*Sala Dworu jasno oświetlona
Na stołach talerze z opłatkami
Wszystko zapięte na ostatni guzik
Za chwilę zaczynamy
Do Dworu wchodzi starsza para
Za nimi panowie i panie*

*By się podzielić „Ciałem Chrystusa”
I odbyć następne spotkanie*

*Bo w gronie naszym tradycją się stało
Spotykać się jak najczęściej
Czas upływa, lata lecą
I jest Nas coraz mniej nie więcej*

*Władzio Kopyś ze „Świąt Stowarzyszenia”
Skląda świąteczno-noworoczne życzenia
Wieczera powoli dobiega końca
Wychodzą panowie i panie
By za miesiąc spotkać się znowu
W Dworze na kolędowaniu.*

PS

*Ryszard Helemejko skarbnik doskonały
Siedzi pod filarem i zbiera „dolary”
Składki bieżące i te zaległe
Żeby w przyszłym roku forsy było więcej!*

A swoje rymowane życzenia, jak w roku poprzednim, przekazał Jerzy Zachemba:

Boże Narodzenie – 2014 rok

*Życzymy Sobie tego zwłaszcza czego nam brakuje
a już głównie zdrowia które niestety – szwankuje!
Dostrzegajmy w porę co komu dolega
by nie musieć później po lekarzach – biegać!
Bądźmy zdrowi tak na ciele jak i na umyśle
zasłużmy na niebo lub chociaż na – czyściec!
Starajmy się nie wybuchać pod byle pretekstem
posługujemy się na co dzień zrozumiałym – tekstem!
Nie sądzmy, że cokolwiek Putina odmieni
nie czujmy się w swej głupocie zbyt osamotnieni!
Nie dajmy się zdominować przez jakichś odmieńców
nie szukajmy wrogów ale sprzymierzeńców.
Zamiast przeć do konfrontacji poszukujemy zgody
wówczas znajdą się do dumy prawdziwe powody!
Oby odtąd czas nie płynął tak jak pędzi – Pendolino
zamiast w tempie ekspresowym jedźmy sobie osobowym!*

*Spotkajmy się za rok w równie licznym gronie
tyle szczęścia miejmy ile procent w – samogonie!*

Halina Jezierska

Wieczór kolęd

Relację z pierwszego wieczoru kolęd naszego stowarzyszenia znalazłam w Biuletynie Nr 31 z lutego 2005 roku. Autorem nieoceniony Tolo Kaczyński. Minęło 10 lat. Kolejny raz możemy spotkać się z radością, drepzcząc przez piękny Rynek Wrocławia do gościnnego Dworu Polskiego.

Fot. H. Sienkiewicz



*Prezes Stowarzyszenia wznosi
noworoczny toast*

Przybywających powitał serdecznie ten sam gospodarz, nasz absolwent Józef Dziąsko. Prezes Władek Kopyś szampanem wznosił toast noworoczny za zdrowie i pomyślność wszystkich przybyłych. Przy stolikach zgromadziło się ponad 70 osób. Swoją obecnością zaszczytili nas: Prorektor do Spraw Badań Naukowych i Współpracy Międzynarodowej prof. dr hab. Zofia Ignasiak, dr Karmena

Stańkowska, Maksymowiczowie, nawet Władek Pałaszewski – widocznie nie było meczu siatkówki w telewizji. Zabrakło tylko Ryśka Helemejko, bo poleciał do Kataru na Mistrzostwa Świata w piłce ręcznej mężczyzn i ktoś inny musiał zbierać składki.

Biały fortepian, przy klawiaturze nasz Romek Wajler, śpiewniki rozdane i śpiewamy, nawet na głosy. Basy Maksymowicza, Pałaszewskiego i Dziąski górowały w kolędzie „Tryumfy króla

Fot. H. Sienkiewicz



*Grupa kolędników Uniwersytetu Trzeciego
Wieku*

Fot. H. Sienkiewicz



*Nasz kolędowy akompaniator przy
instrumencie*

niebieskiego”. Głosami śpiewających dyrygowały Mila Wacht-Wojciechowska i Renia Bruska – dominujący sopran. W przerwach kolędowania w bufecie częstowano się kawą, herbatą, drobnymi ciastkami, a nawet chlebem ze smalcem i skwarkami. Przygotowany na to spotkanie tort udało się podzielić między wszystkich uczestników.

Tą zmaterializowaną już przeszłość dokumentował, jak

zawsze Henio Sienkiewicz, a powrócić do niej możecie wchodząc na stronę internetową naszego Stowarzyszenia.

Inka Warężak

Navigare nacesse est...

Kierując się tą ponadczasową maksymą zorganizowaliśmy kolejny REJS ABSOLWENTA. Niestety, jak to bywało w ostatnich latach, skompletowanie pełnej załogi nie obyło się bez problemów. Ustalony w pewnym momencie „żelazny”, 8-osobowy skład zmniejszył się z powodów zdrowotnych do 7 osób. Ale tych „siedmiu wspaniałych” zdecydowało się płynąć mimo wszystko. Chcąc zapewnić sobie komfort żeglowania wybraliśmy w tym roku ponad 14 metrową BAVARIĘ 44. Była więc szansa, że nikt nie będzie zawadzał drugiemu, bo: cztery kabiny, dwie łazienki, olbrzymia mesa, kokpit mieszczący całą załogę i wiele innych rzeczy dających poczucie komfortu. SPA na wodzie!

Na przed rejsowym spotkaniu w siedzibie Stowarzyszenia cały skład załogi wzajemnie się zapoznał. Prócz pięciorga AWF-iaków dokooptowała do nas dwójka dziarskich emerytów, jedno z Politechniki Wrocławskiej, drugie z Uniwersytetu Rolniczego (prywatnie małżeństwo i moi sąsiedzi przez płot). Ina i Norbert, oboje profesorstwo, mieli okazać się później niewyczerpanym źródłem opowieści o innych turystycznych wojażach i w ogóle o wszystkim.

Na wspomnianym spotkaniu zapadła ważna decyzja co do sposobu podróżowania. Dotychczas, poza wyjazdem do Aten, wszystkie trasy pokonywaliśmy „na jeden raz”. Lat nam niestety nie ubywa, do pokonania ponad 1200km, więc zaproponowałem nocleg w połowie jazdy. Miałby on

wypaść na Węgrzech, w okolicach Balatonu. Na szczęście nie było sprzeciwu, co zwłaszcza mnie – kierowcę bardzo uradowało. Pozostało jeszcze zakupić ze wspólnej kasy prowiant, spakować niezbędny ekwipunek i można było ruszać.

Biorąc poprawkę na czekający nas nocleg u „bratanków”, czyli po około 650 kilometrach, wyruszyłem z domu dobrze przed południem. Wkrótce udało mi się pozbierać całą załogę do busa i mknęliśmy zatłoczoną „ósemką” w kierunku przejścia w Boboszowie. Po przekroczeniu pierwszej granicy tradycyjnie już raz, czy dwa pomyliłem drogę. Ci Czeši mają jednak całkiem odmienne spojrzenie na konsekwencje w oznakowaniu dróg... A jeszcze, nie daj Boże, jakiś objazd... Udało się jednak dotrzeć do Brna, a stamtąd już czytelna droga przez słowacką Bratysławę na Węgry. Cel w postaci pensjonatu MARIA osiągnęliśmy przed nocą – tak, że udało się jeszcze wspólnie przygotować jakąś małą kolację i po przepiciu jedzonką węgierskim, lokalnym piwem (chyba powinniśmy winem), poszliśmy do swoich pokoiów zregenerować siły.

Rankiem nie trzeba było nikogo dobudzać i już przed ósmą jechaliśmy wzdłuż północnego brzegu „węgierskiego morza”, jak nazywają czasem Balaton. Trzeba przyznać, że jego wielkość, jak na jezioro, robi ogromne wrażenie. Wrażenie robi też liczba pensjonatów, hotelików, kempingów usytuowanych na prawie całej linii brzegowej tego zbiornika. Przy takiej ich ilości nie dziw, że część wyglądała na zamkniętą. Konkurencja to sito, które nie każdego przepuszcza. I jeszcze jedna refleksja z drogi po, nie koniecznie, głównych drogach Węgier – całe obszary mijane przez nas wydawały się mokre, wilgotne... W wioskach i miasteczkach domy, które nie były posadowione na solidnych, kamiennych fundamentach wyglądały jakby od wilgotnej ziemi toczyła gangrena. Ich mury były ciemne, zapleśniałe. Tak sobie rozważaliśmy, że bliskość tak wielkiego zbiornika wodnego pewnie dobroczynnie wpływa na roślinność, ale jednocześnie ma taki właśnie wpływ na klimat tej okolicy.

Mimo, że jechaliśmy wciąż na południe i minęliśmy granicę chorwacką nie robiło się wcale cieplej. Oglądanie migających za szybą krajobrazów skutecznie zakłócały solidne opady. Miałem wszakże nadzieję, że po minięciu najwyższych chorwackich pasm gór i przejechaniu przez 6-kilometrowy tunel Świętego Roka północna Dalmacja okaże się łaskawa. I nie zawiodłem się! Nie bardzo mogliśmy w to uwierzyć, ale termometr przed wjechaniem w tunel wskazywał 16 stopni, a po drugiej jego stronie skoczył do słonecznych 26 kresek! Tak... wjechaliśmy w naszą bajkę.

Do portu w Zadarze dotarliśmy o 16.30. Marina ciasniutka, dosłownie wciśnięta pomiędzy okoliczne domy i ulice. Jak się w niej mieści 400 jachtów, nie mam pojęcia. Udało się znaleźć jedno wolne miejsce parkingowe dla



naszego busa. Odbiór jachtu w biurze troszkę potrwał, bo terminal nie chciał przyjąć naszej karty kredytowej do zabezpieczenia kaucji za jacht. Na szczęście kolejna karta zadziałała i można było się wprowadzać. Szukamy nazwy GALERA na rufach kolejnych jachtów, a tu co?... okazało się, że nasz bus stoi

dosłownie obok łajby, którą mamy płynąć. Odpadł, więc problem dowożenia wszystkich rzeczy pożyczonym wózkiem na jakiś odległy portowy pirs. Ten fakt pozwolił się nam uwinąć szybko ze sztautowaniem. W niecałą godzinę każdy miał już swoje tobołki we własnej kajucie, a prowiant nasze dzielne panie rozlokowały do schowków i lodówki. I teraz należało się nam wszystkim coś dobrego. Niewiele załóg stać na to, żeby w rejs zabierać gołąbki. Taką właśnie kolację sobie zawinszowaliśmy w kokpicie jachtu, na świeżym powietrzu, przy zachodzącym słońcu – czym wzbudziliśmy swego rodzaju sensację wśród innych przechodzących obok nas żeglarzy.

Zadar by night ?, czemu nie. Całą naszą grupką wybraliśmy się wieczorem na zwiedzanie Starego Miasta Zadar zbudowanego na półwyspie i z trzech stron otoczonego wodą. Na każdym kroku spotykaliśmy ślady historii z czasów rzymskiego panowania, które dało ówczesnemu Zadarowi mury obronne, baszty, akwedukty, bazyliki, amfiteatr i wiele innych budowli, z których wiele możemy podziwiać do dziś. Niezmiennie w takich miejscach zadziwiają nas wypolerowane, lśniące bloki kamieni, po których przez 20 wieków stąpały setki tysięcy stóp. I rzecz, za którą jestem wdzięczny dzisiejszym Chorwatom, że nigdzie na tak cennych zabytkach nie ma pobazgranych graffiti ścian.

Po pełnym wrażeń dniu każdy miał nadzieję na spokojny, zasłużony wypoczynek. Ale pech chciał, że gdy my zwiedzaliśmy Zadar, na jachcie obok zamustrowała ekipa z Czech – sami faceci w różnym wieku, za to prawie wszyscy z widocznym w okolicy pasa umiłowaniem do piwa. Nie wiem ile wypili, ale z każdą godziną ich dyskusje i śmiechy stawały się głośniejsze. No cóż, nie może być cały czas pięknie...

Rankiem, następnego dnia chcieliśmy wypłynąć jak najszybciej, ale nie działało coś z elektryką windy kotwicznej i zmuszeni byliśmy poczekać na

jej naprawę. Cumy oddaliśmy godzinę przed południem. Port opuszczaliśmy więc przy rozgrzewającym nasze stare kości słończku. I tylko trzymanie się żeglarskiej etykiety powstrzymało nas od rozebrania się do kąpielówek. Dopiero gdy port zaczął się zwolna oddalać każdy zaczął zrzucić z siebie ciuchy, żeby każdym centymetrem kwadratowym ciała chłonać dobroczynne promienie. Jedyna przykreść, że przy tej pogodzie wiatru było jak na lekarstwo i do przodu popychał nas pięćdziesięciokonny diesel (który na szczęście pracował cicho i równo).

Kurs Biograd. Trasa wiodąca wzdłuż wybrzeża północnej Dalmacji. Niewielkie miejscowości wypoczynkowe mijane niespiesznie przez nasz jacht, nie były w stanie dostarczyć nam jakichś poruszających wrażeń estetycznych. Postanowiłem więc rozruszać towarzystwo i urządzić obowiązkowe manewry „człowiek za burtą”. Człowiekiem stał

się wielki niebieski nadęty obijacz, a każdy, kto chciał mógł jako dowodzący żaglowcem „uratować mu życie”. Nie tak łatwo było trafić 14 metrową łodzią obok naszego pływającego „pozoranta”, a jeszcze trudniej było trafić go bosakiem w niewielkie oko z zawiązaną cumką.

Te nasze niewinne zabawy sprowokowały chyba naturę, bo w niedługim czasie zaczął dmuchać rzeński wiaterek. Przez moment wokół nas zrobiło się tłoczno, bo jakiś tutejszy klub zorganizował regaty. Piękny jest widok eskadry żaglowców płynących pełnym kursem z rozwiniętymi kolorowymi spinakerami. Około 17. zobaczyliśmy nasz cel. Port w Biogradzie miał być przestronniejszy, co było ważne w kontekście naszego pierwszego wspólnego cumowania. „Zatoczka tyłem” udała się całkiem dobrze, a obsługujący mirungi i cumy spisali się wzorowo. Nasza GALERA stanęła bezpiecznie. Mundek, który od zawsze na naszych rejsach pełnił rolę technicznego, podłączył nas do prądu i wody i można się było zabrać za przygotowywanie jedzonka. Kasza gryczana z sosikiem i kotlecikami, to wszystko popijane zimnym piwkiem – tego nam wszystkim było trzeba. Ponieważ słońce o tej porze roku zachodzi tu około 20., mieliśmy po obiedzie jeszcze dwie godziny na spacer po mieście. Był to czas wystarczający, bo



Pierwszy obiad - gołąbki!

pamiętek historii w Biogradzie niewiele. Kaplica Św.Roka, dość ładny kościółek. Jednak najwięcej czasu zajęło nam „zwiedzanie” schowanej w ciasnym zaułku maleńkiej Konopy (czytaj: gospody), gdzie gospodarz serwował i sprzedawał na wynos własnej produkcji trunki. Każdy z nas coś tam spróbował, coś zakupił i weseli wróciliśmy na nasz jacht. Noc zapowiadała się spokojnie. I taka była... aż do portu wrócili rybacy i o 3. nad ranem zaczęli puszczać z odtwarzacza i wyśpiewywać na całe gardło rzewne, chorwackie piosenki o morzu, tęsknocie i takie tam... Trzeba przyznać, że owe piosenki same w sobie były nawet ładne, ale o 3 w nocy?? i to odśpiewywane pijackimi głosami?? Moja interwencja nic nie dała. Oczywiście dostałem zaproszenie, żeby się z nimi napić, ale jakoś nie byłem „spragniony”.

Poranne chmury szybko rozgoniło wschodzące słońce. Krótka krzątanina przy sporządzaniu śniadania i po godzinie już nasza GALERA cięła gładką toń ciepłego Adriatyku. Ciepłego na tyle, że niektórzy z nas zdecydowali się sprawdzić jego temperaturę osobiście, i to całym ciałem. Pluskanie przy pełnym słońcu penetrującym swymi promieniami przejrzystą głębinę morza okazało się przeżyciem godnym uczczenia. Co niezwłocznie po wyjściu na pokład śmiali pływacy uczynili. Słodki smak wiśniówki dopełnił przyjemności ciała od jego środka.

Około 11. zaczęło dmuchać i mogliśmy wykorzystać całą prawie 100 metrową powierzchnię naszych żagli. Każdy załogant znalazł sobie jakieś „własne” miejsce na deku i w takim cichym błogostanie posuwaliśmy się powolutku w kierunku wyspy..... . Tam mieliśmy wybrać miejsce, w którym spędzimy wieczór i noc. Po prawdzie różnych zatoczek na chorwackich wyspach jest sporo, jednak znalezienie „własnej”, bez towarzystwa innych jachtów, cichej dobrze osłoniętej od wiatru można szukać godzinami. Głód

zaczął dawać o sobie znać. Należało podjąć jakąś decyzję. Kierując się wskazówkami opisu map tego rejonu skierowaliśmy jacht do zatoczki Landin - półkilometrowego wcięcia w lądzie, które miało kończyć się kotwiskiem. Na spokojnych wodach owej zatoczki kołysały się przygotowane do cumowania,



Kapitan Zbyszek Najsarek

oczywiście płatne boje. Chorwaci chyba wykluczyli z żeglarstwa po swoich wodach możliwość stawianie na kotwicy „na dziko”. Na szczęście było tam na tyle urokliwie, że nie szukaliśmy już niczego więcej i zaczęliśmy się do jednej z boi, wspierając budżet tutejszej społeczności. Na brzeg dotarliśmy pontonem na dwie tury. Było tak gorąco, że podarowaliśmy sobie zwiedzanie okolicy i zasiedliśmy w przybrzeżnej konobie (knajpce) na małe co nieco. Tu należy dodać, że ceny w takich miejscach nigdy nie należą do niskich. Powód jest prosty – tutaj wszystko trzeba dowieźć. A już najcenniejszym skarbem jest woda. Większość mniejszych wysp na Adriatyku pozbawiona jest własnych źródeł słodkiej wody, co skutkuje praktycznym brakiem możliwości upraw jakichkolwiek roślin, czy hodowli zwierząt. I to, co nam się wydaje rajem na ziemi, często jest miejscem walki o przeżycie dla karłowatych roślin, nielicznych zwierząt a często także ludzi. Jak tu jednak nie usiąść i nie skusić się na talerz owoców morza, lampkę białego wina, patrząc na łódki kołyszące się na środku zatoki skąpanej w pomarańczowych promieniach zachodzącego słońca, jednocześnie połyskującej srebrem wschodzącego księżyca. Takie widoki - bezcenne... Za resztę zapłaciliśmy w euro – gotówką! Powróciliśmy na jacht jeszcze na tyle wcześnie przed nastaniem nocy, że poniosło mnie z aparatem z powrotem na brzeg, w celu zdobycia pobliskiego wzgórza i zrobienia z góry kilku fotek. Niestety, wspinaczkę po kamiennych nasypach, wśród klujących, gęstych krzaczorów różnej wielkości i gęstości musiałem przerwać w połowie drogi. O ile bliżej brzegu resztki dawnych poletek uprawnych pozwalały jeszcze przebić się przez strzegącą swej prywatności roślinność, o tyle wyższe partie wzniesienia, na które zamierzałem wejść, zarosły tak gęsto, że powiększająca się liczba ukłuć i zadrapań zniechęciła mnie skutecznie przed forsowaniem mojego zamierzenia. Tak więc parę zdjęć cyknałem z połowy góry i próbując skakać jak kozica po osuwających się skałkach powróciłem na naszą Galerę, gdzie reszta załogi przygotowała już coś do konsumpcji dla podtrzymania nastroju błogości. Wszyscy zasiedliśmy w kokpicie i przy świetle księżyca, który w całej swej okazałości przysłuchiwał się naszym rozmowom,



Żałoga pije zdrowie kapitana

chłonęliśmy zapach adriatyckiego morza, chorwackich ziół i pigwowej nalewki.

Rankiem następnego dnia przywitał nas o dziwo ten sam okrągłutki księżyc. Tylko barwę zmienił z zimno-srebrnej na ciepłutko-pomarańczową. Brak oznak zmiany pogody nastroił nas optymistycznie przed kolejnym dniem żeglugi. Miało być ciepło. Tylko z wiatrem znów krucho. Poranna toaleta, śniadanie i „żagle staw!”, kurs Dugi Otok – docelowa wyspa naszej wyprawy. Dzień wolno upływał na sterowaniu, korygowaniu ustawień żagli do słabego, zmiennego wiatru, fotografowaniu mijanych wysepek, a ponad to na 3xP, czyli: podjadaniu, popijaniu, pogaduszkach. Bez pośpiechu, przed wieczorem dotarliśmy do usadowionego wokół portu miasteczka Sali. Do niedawna była to niewielka osada rybacka, której głównym budynkiem była przetwórnia ryb. Od czasu, gdy wyodrębniona z dawnej Jugosławii Chorwacja nastawiła się głównie na turystykę (w tym turystykę żeglarską), miasteczko zaczęło nabierać kolorytu. Sporo miejsc dla jachtów, liczne knajpki, pizzerie, nieźle utrzymane portowe toalety, pieszna trasa spacerowa wokół wzgórza na skraju miejscowości. Wieczornemu spacerowi załogi znów towarzyszył okrągłutki księżyc.

„Gdy czerwone słońce wschodzi, w marynarzu bojaźń rodzi” – tę przepowiedankę zna chyba każdy żeglarz. Szkoda, że to załamanie pogody miało przypaść na dzień, w którym mieliśmy w planie zwiedzać największą i ponoć najpiękniejszą zatokę Adriatyku – Telaścicę. Aby zdążyć przed tą zmianą pogody wypłynęliśmy z Sali dość wcześnie. W drodze do zatoki mieliśmy okazję oglądać niecodzienne manewry szkoleniowe samolotów przeznaczonych do gaszenia pożarów. Udało nam się sfotografować, jak samoloty zniżają lot i ślizgając się po wodzie zasysają morską wodę, by później wzbić się w powietrze i po chwili wykonać zrzut pobranej wody na którąś z niezamieszkałych wysepek. Chorwacka straż pożarna, przez wzgląd na wysokie zagrożenie pożarowe, to jedna z najważniejszych służb publicznych w tym kraju. Najkrótsza droga do naszego celu wiodła przez malowniczy przesmyk pomiędzy wyspami Dugi Otok i Katina. Znakomicie oznakowany tor wodny pozwolił bezpiecznie przejść ten wąski kanał i przed godziną 10. wpływaliśmy już na wody Telaścicy. Chmury (jeszcze białe) zaczęły gromadzić się na niebie od północy. Do miejsca postoju w okolicy słonego jeziora Mir mieliśmy tylko kilka mil, więc bez strachu skierowaliśmy jacht w kierunku piętrzących się chmur. Po godzinie stanęliśmy na kotwicy. Postanowiliśmy, że załoga popłynie na ląd i „zdobędzie” słone jezioro, a kapitan pozostanie na straży, na jachcie, bo jacht na kotwicy nie może zostać bez nadzoru, zwłaszcza w kontekście nadchodzącej burzy. Wycieczka się udała i tylko konieczność uiszczenia kolejnej opłaty za godzinny postój trochę podniósł nam ciśnienie. Pogoda była jeszcze na

tyle dobra, że po podniesieniu kotwicy zapragnęliśmy opłynąć zatokę aż po jej kraniec. Wiatr wiał rzeško, więc żegluga szła sprawnie. Przepiękne widoki rozświetlało dodatkowo słońce przedzierające się jeszcze momentami przez chmury. Sympatie wzbudziły dzikie osły pasące się na brzegu jednej z wysepek. Gornij Skoli i Dolnij Skoli to dwie ostatnie wyspy, które opłynęliśmy zawracając na końcu zatoki. Czas był najwyższy, bo wiatr się wzmacniał, zrobiło się chłodniej i należało szukać „szerszej wody”. Na szczęście mocny wiatr mieliśmy od rufy, więc pełnym kursem uciekaliśmy przed goniącymi nas ciemniejącymi chmurzyskami. Uciec się jednak nie udało. Deszcz dopadł nas niedaleko wyjścia z Zatoki. Deszcz..., ulewa..., ściana deszczu...; lało tak, że widoczność spadła do około 50 metrów. W tej ucieczce zapomnieliśmy o pontonie ciągniętym za jachtem. 10 minut wystarczyło, by wypełnił się wodą do połowy. Wyciągnięcie go w tym stanie stało się nie lada wyzwaniem. Na szczęście mogę zawsze liczyć na Anię – moją załogantkę, moją towarzyszkę. Uniesienie, przechylenie, wylanie wody, wyciągnięcie, umocowanie – to zaledwie kilka słów, a ból pleców na następnych kilka godzin. Reszta załogi dzielnie nam sekundowała i zabezpieczała zamknięte nieco rzeczy wewnątrz jachtu (coś tam nam przeciekało...). Ponieważ wciąż wiało, wciąż żeglowaliśmy. Na szczęście nie było zbyt zimno, a kuchnia serwowała „góralską” herbatkę, do której co chwilę kapąło z przeciekającego daszka znad kokpitu. Po godzinie cała woda z chmur się wylała i jedynie wiatr pozostał na tyle silny, że płynęliśmy jak daleko się uda do wieczora. Poszukiwania miejsca postoju wzdłuż zachodniego brzegu wyspy Iż było sprawdzianem naszej cierpliwości. Kiedy już wydawało się, że wpływamy do spokojnej, cichej zatoczki – na jej środku ujrzeliśmy rybacką fermę. Dzień chylił się ku zachodowi, a my wciąż byliśmy w drodze. Dopiero przed 20 stanęliśmy na kotwicy. Zatoczka była ciasna, ale na tyle długa, że dawała gwarancje bezpiecznego noclegu. Dzielne załogantki Dominika i Duśka jeszcze w czasie płynięcia zaczęły przygotowywać kolację, więc chwilę po zakotwiczeniu mogliśmy delektować się ziemniaczkami w mundurkach z masłem czosnkowym i kefirem. Makarska Śliwowica dopełniła uczty. Cóż zrobić z tak miło rozpoczętym wieczorem...? Może wyciągnąć gitarę i zachęcić wszystkich do otwarcia ust i dusz... Śpiewy trwały do północy.

Szary poranek nie zachęcał do wstawania, ale północny brzeg Dugiego Otku czekał. Pożegnaliśmy Iż i przy znów sprzyjającym kierunku wiatru ruszyliśmy na północny zachód. Pogoda się „przecierała”. Trochę chmur, z rzadka słońce, kilka kropel deszczu. Dopiero koło południa można było założyć słoneczne okulary. Minęliśmy jakieś regaty, później przepłynęliśmy obok ogromnego bunkra wykutego w skałach stromego brzegu jednej z wysp, zaglądaliśmy z oddali w okna domów mijanych maleńkich osad. Po

południu pogoda znów zmusiła nas do założenia kurtek przeciwdeszczowych. W takiej chmurnej aurze zbliżaliśmy się do jednej z atrakcji tej okolicy – wystającego z wody wraku włoskiego frachtowca, osiadłego na mieliźnie w 1984 roku. Niestety, widok jaki zastaliśmy różnił się znacznie od tego ze zdjęć w przewodnikach. Ponad powierzchnię wody, miały połowy statku, wystawały jedynie czubki masztów antenowych. Zawiedzeni zawróciliśmy w kierunku docelowego portu Veli Rat. Po niebie przevalały się ciężkie, szare chmury, więc staraliśmy się możliwie szybko dotrzeć do mariny. Powitały nas nowiutkie, pływające pomosty mogące przyjąć do 400 jachtów. Niestety, w tej malutkiej osadzie za budową mariny nie nadążyła budowa zaplecza gastronomiczno-sklepowego. Na szczęście nasze zapasy żywności pozwoliły dziewczynom znów wyczarować ucztę. Krótki spacer zakończył ten dzień, w którym pogoda zmieniała się jak w kalejdoskopie.

Drobnutki deszczyk na przebudzenie, podobny do porannego prysznica rozpoczął ostatni dzień naszego rejsu. W czasie, gdy my wykonywaliśmy czynności toaletowe i przygotowywaliśmy śniadanie wiaterek rozgonił nieco szare chmury i momentami wyglądało na nas słonko. Ten fakt zmobilizował załogę do działania. Klar pod i na pokładzie, i po 9. oddaliśmy cumy. Przed nami na początek manewrowanie między wysepkami, a potem około 15 mil po otwartej wodzie w kierunku Zadaru. Ponieważ wiatr ustawił się z kierunku południowego, pierwszą część dnia żeglowaliśmy prawie z wiatrem, co znacznie przyspieszyło i ułatwiło przejście pomiędzy różnej wielkości wysepkami. Nie na darmo mówi się, że przypominają one koraliki rozsypane po Adriatyku. Wkrótce zostawiliśmy je za rufą, a przed dziobem rozlała się szeroka, błękitna przestrzeń wody. Mój nauczyciel żeglarstwa Wacek Petryński mawiał, że „żeglarstwo jest piękne, bo trochę pracy w porcie, a

później już tylko błogie lenistwo”. Tego rodzaju żegluga właśnie doświadczyliśmy. Jacht popychany pełnym bejdewindem, o sile nie przekraczającej 2-3 stopni w skali Beauforta, sunął w niewielkim przechyle prawie bez konieczności korygowanie kursu wprost na odległy port, który spodziewaliśmy się osiągnąć wczesnym



Cumujemy w Zadarze

popołudniem. W południe minęliśmy czarno-czerwoną pławę, która ostrzegała o „odosobnionym niebezpieczeństwie”. Dla nas było to jednak oznaczenie połowy dystansu, jaki mieliśmy do przebycia tego dnia. Im dalej płynęliśmy na południowy zachód, tym więcej ciemnych chmur spoglądało na nas od północy. W porcie, z którego wypłynęliśmy rano pewnie już lało, a my w połowie drogi... Nie uśmiechało się nam wcale zmoczyć na ostatnim odcinku naszej podróży, więc wiatrowo-żaglowe 4 węzły wspomogliśmy dieslowym półtora węzłem, by uciec przed deszczem. Mieliśmy wrażenie, że w tym samym tempie zbliżał się z przodu Zadar i z tyłu ulewa. Ktoś, albo coś, czuwało nad nami, bo główki portu minęliśmy o 15.15 czasu lokalnego. Do manewru cumowania cała załoga ubrana była już w stroje sztormowe. Podjęto mirungi, podano cumy, zgaszono motor i po komendzie „tak stoimy”, pierwsze grube krople spadły na pokład. Wiatr, który zdążył w międzyczasie zmienić kierunek i przede wszystkim siłę, zakolysał jachtami stojącymi bliżej wejścia do portu. Rozkolys był na tyle duży, że miało się wrażenie, iż topy masztów pozahaczają się o siebie w tym szalonym tańcu. Jakże szkoda nam było załóg jachtów, które teraz zaczęły podchodzić do nabrzeża. Manewry portowe w asyście ściany deszczu i wiatru dochodzącego do 6 Beauforta nie mogły być przyjemnością. A my..., my w środku naszej wygrzanej jeszcze słońkiem Galery skutecznieiliśmy nasze „3xP”. Po niespełna dwóch godzinach na niebie pojawiło się bajkowe półkole tęczy. Było to sympatyczne zwieńczenie naszej kolejnej przygody z Adriatykiem, Chorwacją, towarzyszą rejsu. Rejsu, w którym doświadczyliśmy pełnej gamy warunków pogodowych i żeglugowych. Jak stwierdził jeden z załogantów: „gdyby cały czas świeciło, to byśmy się zanudzili, a tak... jest co wspominać”!



Ostatnie spojrzenie na „Galere”

Noc minęła spokojnie. Rano sprawnie przenieśliśmy nasze tobołki do busa i sklarowaliśmy jacht. Ostatnie zdjęcia całej załogi na tle naszego dzielnego jachtu i kierunek Wrocław. Podróż powrotna miała być prosta i szybka. Ale deszcze, padające w północnej części półwyspu bałkańskiego od prawie miesiąca, spowodowały wystąpienie z brzegów rzek na granicy Chorwacji i

Słowenii. Zamknięto więc główne przejście graniczne, a objazd urządzono przez pobliskie góry. Nasz GPS prowadził nas drogami, z których niektóre auta zawracały. My jednak parliśmy naprzód i po paru godzinach, jakby niespodziewanie znaleźliśmy się na granicy słoweńsko-austriackiej, zostawiając za sobą całą zalaną wodą Słowenię. Od tego momentu żadne nieprzewidziane okoliczności już nas nie prześladowały.

Wszyscy uczestnicy rejsu byli zgodni, że oprócz „przepięknych okoliczności przyrody”, najważniejszym POZYTYWNYM elementem naszej wyprawy było WSPANIAŁE TOWARZYSTWO.

PS. W rejsie brali udział: Dominika Rucińska, Halinka Jezierska, Ania Tomaszewska, Ina Pospieszna, Norbert Pospieszny, Mundek Trzęsicki, Zbyszek Najsarek.

Zbigniew Najsarek

Realizacja preliminarza Stowarzyszenia Absolwentów AWF Wrocław za rok 2014

1. stan rachunku bankowego na dzień 31. 12. 2014	9295.82
2. stan kasy na dzień 31. 12. 2014	1705.30
3. lokata	5037.81
Razem	16038.93

Wpływy

1. składki członkowskie	7796.00
2. darczyńcy-sponsorzy	1725.00
3. wpłaty opłatkowe	2160.00
4. odsetki bankowe	88.67
Ogółem	11769.67
Łącznie	27808.60

Wydatki

1. koszty druku biuletynu absolwenta	4446.41
2. opłaty pocztowe	3181.81
3. spotkanie opłatkowe	5400.00
4. księgowa	1122.30
5. spotkania tematyczne	240.00
6. wieczór kolęd	400.00
7. materiały do komputera	699.00
8. materiały biurowe	536.60

9. znicze	79.08
10. ZUS	441.75
11. urząd skarbowy	89.00
12. opłaty bankowe	414.60
13. herbata	79.08
14. wykonanie pieczętki	47.00
15. druk dyplomów	60.15
16. długopisy	563.91
Razem	17800.69

Projekt preliminarza Stowarzyszenia Absolwentów AWF Wrocław na rok 2015

Przychody

1. składki członkowskie	10,000.00
2. darczyńcy- sponsorzy	2500.00
3. wpłaty opłatkowe	3 000.00
4. odsetki bankowe	500.00
5. inne wpłaty	1000.00
Razem	17000.00

Wydatki

1. druk biuletynów	4.000.00
2. opłaty pocztowe	3,000.00
3. spotkanie opłatkowe	5,500.00
4. księgowa	1122.30
5. materiały biurowe	400.00
6. materiały do komputera	400.00
7. wieczór kolęd	900.00
8. spotkania tematyczne	500.00
9. ZUS	300.00
10. urząd skarbowy	89.00
11. opłaty bankowe	220.00
Łącznie	16431.30

Honorowa lista wszystkich sponsorów roku 2014

Dyplom złoty

Eugenia Ostapowicz

Dyplom srebrny

Małgorzata i Andrzej Gralińscy
Hanna Burzyńska-Grzeszczak
Edward Hyla
Mieczysław Kicera
Sławomir Mozyrko
Genowefa Ostapowicz
Andrzej Wit

Dyplom brązowy

Tadeusz Babski
Eliza Bator
Emilia Christiansen
Henryk Dąbrowski
Józef Dziąsko
Jan Golawski
Zdzisław Kadziak
Janusz Pauli
Rocznik 1965 - 1969
Adam Stocki
Janusz Taczalski



Wszystkim darczyńcom składamy serdeczne podziękowania za hojny gest wspierający naszą skromną kiesę i ułatwiający prowadzenie działalności statutowej, a przede wszystkim pozwalający na wydawanie Biuletynów.

VI Integracyjny Turniej „BULE SOFT – 2015”



Emocje podczas gry

Stowarzyszenie na Rzecz Osób Starszych, Chorych i Niepełnosprawnych „KOLORY NADZIEI” wraz Uniwersytetem Trzeciego Wieku na Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu zaprosiło reprezentację Stowarzyszenia Absolwentów AWF do udziału w VI Integracyjnym Turnieju „BULE SOFT – 2015”, który odbył się 13 lutego 2015 r., w hali sportowej Studium Wychowania Fizycznego i

Sportu Uniwersytetu Ekonomicznego, przy ulicy Kamiennej. Głównym celem turnieju była aktywizacja i integracja mieszkańców Domów Pomocy Społecznej i podopiecznych Dziennych Domów Pomocy Społecznej ze środowiskiem zewnętrznym, a także wymiana doświadczeń sportowych.

Koordynatorem turnieju był Andrzej Scheuer, absolwent z 1973 roku.

W turnieju uczestniczyło 12 zespołów w grupach UTW i DPS/DDPS. Każda drużyna grała z każdą w swojej grupie. Zespół Stowarzyszenia zajął 3 miejsce, występując w składzie: Anna Biniek, Zofia Świątek, Henryk Świątek i Ryszard Helemejko. Kapitanem była kol. Barbara Ferenc.



Kapitan i zespół z pucharem

Redakcja

Nasz człowiek na Mistrzostwach Świata w Piłce Ręcznej Mężczyzn w Katarze w dniach 15. 01 – 2. 02 2015

Miałem przyjemność jako kibic uczestniczyć w tych mistrzostwach od początku do końca, to jest od 13 01 do 1 02 2015 roku.

O możliwości wyjazdu do Kataru dowiedziałem się w drugiej połowie grudnia 2014 roku. Otrzymałem telefon ze Związku Piłki Ręcznej w Polsce o możliwości wyjazdu na mistrzostwa. Zapytano, czy mam ważny paszport i czy mogę jechać. Wyjazd miał nastąpić 15 stycznia. Otrzymałem również informację, że wyjazd jest na koszt organizatorów i tak długo będziemy w Katarze, jak długo grać będzie nasza reprezentacja. W międzyczasie dowiedziałem się, że znalazłem się w 20 osobowej grupie, która jedzie na mistrzostwa. W grupie tej byli trenerzy reprezentacji Polski Bogdan Kowalczyk, Zenon Łakomy, czy Mieczysław Kiegel oraz byli reprezentanci kraju jak: Andrzej Wlazło, Piotr Czaczko, Andrzej Lech czy Agnieszka Matuszewska-Kaja. Zapewniony mieliśmy przelot w obie strony, zakwaterowanie, całodienne wyżywienie, bilety na mecze wraz z dojazdami na nie.

W dniu 7 stycznia drogą elektroniczną otrzymałem oficjalne potwierdzenie wraz z biletem lotniczym oraz innymi informacjami dotyczącymi wyjazdu. W poniedziałek, 12 stycznia, w godzinach rannych wraz z Piotrem Czaczką, absolwentem naszej uczelni i członkiem naszego stowarzyszenia, Polskim Busem ruszyliśmy do Warszawy. Noclegi dla mieszkających poza Warszawą zabezpieczył Związek Piłki Ręcznej w hotelu Mariot, przy lotnisku. W godzinach wieczornych do hotelu przyjechał pan Henryk Szczepański, wiceprezes Związku Piłki Ręcznej w Polsce. Jeszcze raz zapoznał nas z



Ryszard Helemejko po przylocie do Qatary

programem wyjazdu i przekazał koszulki, które mieliśmy zakładać na mecze. Następnego dnia już o godzinie 7.30 byliśmy na lotnisku, ponieważ o godzinie 9.10 mieliśmy lot do stolicy Kataru – Dohy. Po pięciu godzinach, o 17. czasie miejscowego, dotarliśmy na miejsce. Lotnisko ogromne – ale już po paru minutach doszliśmy do odprawy paszportowej, i

po krótkiej odprawie specjalnym autobusem przyjechaliśmy do hotelu o nazwie „Ezdan4”. Kompleks hotelowy „Ezdan” składał się z czterech kilkudziesięciu piętrowych budynków. Po zameldowaniu otrzymaliśmy klucze do swoich pokoi. Zakwaterowano nas komfortowo - pojedynczo w pokojach dwuosobowych. Wieczorem jeszcze kolacja w hotelowej restauracji i poszliśmy spać. Jeszcze w czasie kolacji poinformowano nas, że od następnego dnia posiłki spożywać będziemy w hotelu na czwartym piętrze, w specjalnie przygotowanym klimatyzowanym obszernym namiocie, wraz z innymi uczestnikami mistrzostw. Na tym czwartym piętrze był odkryty 50 metrowy basen, a w budynku do dyspozycji mieszkańców hotelu sauna oraz siłownia. Oprócz nas w tym hotelu mieszkali kibice Macedonii, Niemiec, Białorusi, Rosji, Bośni i Hercegowiny, Austrii, Tunezji, Chile oraz Argentyny. Wyżywienie było wspaniałe i dostatnie - szwedzki stół na wszystkich posiłkach.

Następnego dnia, 14 stycznia, pojechaliśmy na wystawę do Muzeum Narodowego. Budynek muzeum ogromny, nowoczesny i bardzo przestrzeny a wystawa ciekawa. Po dwóch godzinach zwiedzania wróciliśmy do hotelu. Doha - stolica Kataru liczy 800 tys. mieszkańców. Prawdziwych Katarczyków jest podobno około 250 tys. Siłą roboczą tworzą obywatele Indii, Pakistanu, Filipin - tych jest najwięcej. W stolicy Kataru zdecydowanie przeważa budownictwo wysokościowe, zwłaszcza w centrum. Ale jest tam również średnie i niskie budownictwo. Nasz hotel liczył 36 pięter i był średniej wielkości. Stolica Doha to cały czas plac budowy. Katar przygotowuje się do Mistrzostw Świata w piłce nożnej, które odbędą się w tym kraju w 2022 roku. Już jest wiele gadżetów, które promują mistrzostwa. Katar, państwo położone we wschodniej części Półwyspu Arabskiego nad zatoką Perską, graniczy lądem jedynie z Arabią Saudyjską.

Dzień 15 stycznia to dzień uroczystego otwarcia Mistrzostw i pierwszego meczu na otwarcie: Katar - Brazylia. Każdy z widzów, a było nas około 15 tysięcy, miał przy swoim siedzeniu zawieszony plecak z różnymi gadżetami mistrzostw. Na otwarciu w jednym sektorze siedzieliśmy z naszą reprezentacją. Uroczystość otwarcia była wspaniała i trwała ponad godzinę, a następnie rozegrany został mecz otwarcia Katar-Brazylia, wygrany przez gospodarzy wynikiem 23:18.

Dzień 16 stycznia, był dniem, w którym rozpoczęły się mistrzostwa w fazie grupowej. Spotkania początkowo rozgrywano w dwóch halach. Największa, na 15 tysięcy widzów, była położona na pustyni, druga hala bliżej miasta - na 8 tys., była też trzecia hala na 6 tys. Wszystkie hale były nowoczesne, czyste. Wspaniała komunikacja między piętrami: schody ruchome, schody normalne, windy. Pierwszy raz mistrzostwa rozegrano w jednym mieście. Frekwencja była różna. Najwięcej widzów było na meczach

gospodarzy. Najliczniejszą grupą, poza gospodarzami byli Francuzi. W sumie było ich ponad tysiąc. Nasza cała polska grupa w porywach liczyła ponad trzysta osób. Najliczniejsza była w pierwszym tygodniu w fazie rozgrywek grupowych. Kibice z Polski składali się z czterech grup. Pierwsza to turystyczna, która liczyła ponad 50 osób, druga grupa to działacze ZPRP, trzecią grupę tworzyli Polacy pracujący w Katarze i była to najbardziej zorganizowana grupa kibiców, czwarta grupa to nasza 20. osobowa, raczej milcząca. Pierwsze dwie grupy po meczach grupowych odleciały do kraju. Wszystkie uczestniczące w mistrzostwach zespoły miały swoje 20. osobowe grupy kibiców, które tak długo przebywały na mistrzostwach, jak długo grały ich reprezentacje. Mieliśmy to szczęście, że dzięki naszej reprezentacji mistrzostwa oglądaliśmy do końca. Skorzystali również kibice Czech, Białorusi, Rosji oraz Macedonii; zespoły te w swoich grupach zajęły piąte miejsca i grały jeszcze o puchar Prezydenta IHF i kibice tych zespołów jeszcze trzy dni dłużej byli w Katarze. Najgorzej miały zespoły, które grały w fazie pucharowej, ponieważ po przegranym meczu następnego dnia opuszczały Katar. Natomiast drużyny które przegrały w 1/8 finału, grały jeszcze o miejsca 1 - 8 i również ich kibice pozostali do końca mistrzostw. Mecze rozgrywane były co drugi dzień, jak nie grała nasza

Reprezentacja, to mecze innych grup mogliśmy oglądać w hotelu na olbrzymich telebimach.

Pierwszy mecz naszej reprezentacji trochę nas rozczarował, ponieważ nasz zespół był nieco słabszy od reprezentacji Niemiec i zasłużenie przegraliśmy 26:29. Drugi mecz, z Argentyną, po dramatycznym i szczęśliwym meczu wygraliśmy 25:24. Kolejny mecz w grupie rozegraliśmy z Rosją, ponieważ zwycięstwo dawało naszej drużynie trzecie miejsce w grupie i dalszy awans. Ponownie, również po bardzo dramatycznym meczu, wygraliśmy z Rosją 26:25.



Wrocławianie w Katarze

Kolejny mecz, bez emocji, nasz zespół wygrał z Arabią Saudyjską 32:13. Wprawdzie bramkarz drużyny przeciwnej obronił sześć rzutów karnych naszej drużyny, ale różnica punktów zbyt była duża, aby mogło to zmienić wynik. Ostatni mecz w grupie Polacy grali z Danią, z którą przegraliśmy 27:31. Pierwsze miejsce w grupie zajęły Niemcy, drugie Dania, trzecie Polska, czwarte oraz awans do dalszych gier zajęła Argentyna, piąte Rosja i ostatnie Arabia Saudyjska. Po spotkaniach grupowych zaczęły się mecze pucharowe. Nasz zespół jako trzeci w grupie D spotkał się z reprezentacją Szwecji, która w grupie C zajęła drugie miejsce. Mecz był ciekawy, i nareszcie polscy kibice nie musieli drżeć o wynik. Nasz zespół rozegrał dobre spotkanie i pewnie wygrał 24:20. Kolejnym przeciwnikiem był zespół Chorwacji, który na tych mistrzostwach nie przegrał meczu. Spotkanie wyrównane, do przerwy nasz zespół prowadził 12:10. Jednak na początku drugiej połowy coś się zacięło w naszym zespole i to Chorwaci wyszli na prowadzenie. Koniec był jednak dla nas radosny, a nasza reprezentacja ostatecznie wygrała 24:22. Po dniu przerwy rozpoczęły się mecze półfinałowe. Reprezentacja Polski spotkała się z Katarzem, a Francja z Hiszpanią. Jako pierwsi na parkiet wyszli reprezentanci Kataru i Polski. W pierwszych minutach naszemu zespołowi szło dobrze i prowadziliśmy kilkoma bramkami, ale pierwsza połowa zakończyła się wynikiem 16:13 dla Kataru. Zaraz po przerwie zdobyliśmy dwie bramki, ale gospodarze nie byli dłużni i zaczęli powiększać przewagę. W ostatnich dziesięciu minutach nasz zespół zaczął zmniejszać przewagę przeciwnika. Niestety, trochę gospodarzom zaczęli pomagać serbscy sędziowie. Uznali Katarczykom dwie bramki z wyraźnie przekroczonej linii pola bramkowego. Nie widzieli też oczywistego faulu w ataku, po którym zawodnik Kataru zdobył bramkę. Ostatecznie nasza reprezentacja przegrała 29:31. Czy to przez sędziów przegraliśmy ten mecz? Moim zdaniem nie. Po pierwsze, nie najlepiej nasz zespół zagrał zarówno w obronie, jak również w ataku. Nie pomogli też nasi bramkarze. Po meczu powiedział Bartosz Jurecki, że graliśmy zbyt indywidualnie. Drugi mecz Francja - Hiszpania był ciekawy i zakończył się wygraną Francji 26:22.

Do Kataru, na ostatnią fazę mistrzostw, przyjechali przedstawiciele miast polskich, które w 2016 roku organizować będą Mistrzostwa Europy w piłce ręcznej. Kraków reprezentowany był przez prezydenta miasta pana Majchrowskiego, Katowice i Gdańsk reprezentowali wiceprezydenci. Z Wrocławia przyjechał prezydent miasta pan Rafał Dutkiewicz wraz z małżonką, a ja po raz pierwszy miałem okazję go poznać i rozmawiać osobiście.

Ostatni dzień 1 lutego to mecze finałowe. Pierwszy mecz o trzecie miejsce Polska - Hiszpania, to prawdziwy horror. Nasz zespół zaczął dobrze; prowadziliśmy 4:1, a następnie 7:4. I od tego momentu zaczęło się źle

dziać w naszym zespole. Do przerwy był remis 13:13. W drugiej połowie Hiszpanie prowadzili nawet 22:18. W tym momencie nasi zawodnicy obudzili się z letargu, a w ostatnich sekundach meczu Szyba doprowadził do remisu i tym samym do dogrywki. Ostatecznie wygrała Polska 29:28 i zdobyła brązowy medal. Spotkanie finałowe było również zacięte i wyrównane. Do przerwy prowadziła Francja 14:11, żeby ostatecznie wygrać 25:22 i zdobyć Mistrzostwo Świata, a jednocześnie awans na igrzyska olimpijskie, które w 2016 roku odbędą się w Brazylii. Drugie miejsce i Wicemistrza Świata - Katar, trzecie miejsce oraz brązowy medal Polska. Dalsze miejsca zajęły: Hiszpania, Dania, Chorwacja, Niemcy oraz Słowenia. To był ciężki, a zarazem piękny wieczór również dla polskich kibiców. Zakończenie było również wspaniałe jak otwarcie. Łącznie zakończenie z rozdaniem medali oraz sztucznymi ogniami trwało ponad godzinę. Co robiliśmy jak nie było meczy, zwłaszcza wieczorami? Zwiedziliśmy Wyspę Perłową, przepiękną, zwłaszcza wieczorem. Kilka razy byliśmy na arabskim targu, i to była chyba największa atrakcja, zwłaszcza w czasie targowania przy zakupie drobnych upominków. Większość czasu spędzaliśmy na basenie. Jak niektórzy mówili - była to wycieczka życia. Następnego dnia, 2 lutego, opuściliśmy hotel oraz Katar i odlecieliśmy do kraju.

Ryszard Helemejko

Zapowiedzi planowanych zjazdów

Zjazd rocznika 1961

W tym roku organizatorem spotkania jest kolega Andrzej Błachno. W dniach **21-24 maja 2015** roku spotkamy się w Karpaczu.

Zjazd rocznika 1965

Rocznik 1961 – 1965 odbędzie swój zjazd w Turawie nad jeziorem o tej samej nazwie w dniach **4 – 6 września 2015 roku**. Organizatorem spotkania jest kolega Stanisław Szczepański.

Zjazd rocznika 1966

Rocznik 1962 – 1966 organizuje spotkanie z okazji 50-ciolecia drugiego obozu zimowego w Bierutowicach (obecnie Karpacz Górny) w dniach **6 – 8 marca 2015 roku** w DW „STOKROTKA”, tamże.

Miroslaw Filon, Antoni Okniański

Zjazd rocznika 1968

Rocznik 1964 – 1968 planuje zjazd w Łodzi w dniach **11 – 13 września**

2015 roku. Organizatorem spotkania jest kolega Waldemar Dyba. Tel: 692 896 826, adres e-mail: waldyba@op.pl

Zjazd rocznika 1969

Nie każdemu rocznikowi jest dane obchodzenie, rok po roku, 2. ważnych wydarzeń. W 2015 rocznik 1965 – 69 obchodzić będzie 23 października 50 – lecie immatrykulacji. Rok później 70 – lecie Uczelni. Prawie setka uczestników rocznicy będzie obchodzić swoje 70 – tki!!

Z tych to okazji rocznik planuje wydanie historii swego czterolecia na Słonecznej Uczelni. Będzie o nas i naszych Nauczycielach, egzaminach, obozach, życiu akademickim, będzie o praktykach i wojsku. Razem ponad 150 anegdot i historyjek, 50 nigdzie nie publikowanych zdjęć, będzie muzyka tamtych lat.....

Informujemy zatem nasze koleżanki i kolegów, że w dniach **23 – 25 października 2015 roku** organizujemy zjazd z okazji 50 – lecia immatrykulacji. Szczegóły zamieścimy w przesłanym indywidualnie komunikacie.

*Jaga Świętochowska, Ela Banach-Zatoka, Ewa Możejko-Kaczor
Adam Rydziński i Wiesław Zieliński*

Komunikaty

**Stowarzyszenie Absolwentów AWF we Wrocławiu
z a p r a s z a członków i sympatyków Stowarzyszenia na
Walne Zebranie Sprawozdawcze – Wyborcze na IX kadencję
w dniu 24 listopada 2015 r. godz. 18.00 – Dwór Polski – Rynek 5**

Wybory, zgodnie z przyjętym Regulaminem, członków zarządu, komisji rewizyjnej i sądu koleżeńskiego, mogą być przeprowadzone w głosowaniu tajnym, jawnym lub też korespondencyjnie oraz pocztą internetową.

Głosy oddawane korespondencyjnie oraz pocztą internetową należy przysyłać na adres Stowarzyszenia najpóźniej do 7 listopada 2015 r.

Więcej informacji zamieścimy we wrześniowym numerze biuletynu.

Zachęcamy do udziału w wyborach, gdyż to od Was i Waszego wyboru władz na kolejną kadencję, zależeć będzie dalsze bardziej lub mniej sprawne działanie tej naszej wspólnej organizacji.

Stowarzyszenie Absolwentów AWF we Wrocławiu za pośrednictwem naszego kolegi, autora wielu książek o tematyce sportowej Jerzego Szczygielskiego, poszukuje kontaktu z absolwentami - olimpijczykami

(studia dzienne, zaoczne, kursy trenerskie), których biogramy wraz z uzupełnieniami będą prezentowane na łamach kolejnych wydań biuletynu.

Prosimy więc absolwentów - olimpijczyków oraz wszystkie koleżanki i kolegów o kontakt z podanymi niżej adresami, celem wskazania konkretnych lub przybliżonych danych (adres, telefon, e-mail, skype) wspomnianych osób. Ze względu na ograniczenia czasowe i ilość przygotowywanego materiału prosimy o w miarę sprinterski kontakt, dziękujemy !

A oto adresy kontaktowe autora: Jerzy Szczygielski - e-mail 1: sportjerzy@freenet.de tel: 0049 221 70030-54; skype: jerzy.szczygielski26 lub e-mail 2: jan.kurzydym@onet.pl tel: 0049 32 4223-550.

Informujemy, że na zebraniu Zarządu w dniu 28 października 2014 roku zatwierdzono powstanie koła absolwentów Uniwersytetu Trzeciego Wieku Akademii Wychowania Fizycznego przy Stowarzyszeniu Absolwentów AWF we Wrocławiu.

Wszystkich członków stowarzyszenia informujemy, że oprócz możliwości korzystania odpłatnie (6zł) z basenu krytego, od lutego br. można nieodpłatnie korzystać z zajęć sportowych w sali gimnastycznej. Zajęcia odbywają się w każdy piątek, w godzinach 18 – 20, w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym nr 10 przy ul. Parkowej 27. Wejście od strony przystanków tramwajowych przy ul. Kochanowskiego.

Wystawa prac Izabelli Degen



W kwietniu i maju 2015 roku można będzie oglądać prace Izabelli Degen pt. „Tam gdzie kwitną rajskie ptaki” w sali wystawowej Klubu 4 Regionalnej Bazy Logistycznej we Wrocławiu, przy ulicy Pretficza 24. Sala wystawowa (parter) otwarta będzie w godz. 9 – 17.

Izabella Degen uprawia malarstwo sztalugowe, maluje obrazy realistyczne: pejzaże, kwiaty, portrety. Prace wykonuje przeważnie w technice olejnej lub mieszanej. Ukończyła dwuletnią Szkołę Malarstwa Kreatywnego w

Hamburgu pod kierunkiem doc. Beate Emsbach. Przez siedem lat mieszkała w Hiszpanii na Teneryfie, gdzie uczęszczała na kursy malowania pod patronatem Uniwersytetu La Laguna. Regularnie bierze udział w międzynarodowych plenerach malarskich.

Ma w swoim dorobku wiele wystaw: w Polsce, Hiszpanii i Niemczech. Jej obrazy znajdują się w prywatnych zbiorach w Polsce, Niemczech, Hiszpanii, USA, Indiach, Brazylii oraz w Muzeum Żydowskim we Frankfurcie.

Obecnie mieszka we Frankfurcie nad Menem.

W roku 2015 - Izabella Degen świętuje 20. lecie działalności artystycznej, jako malarka i pisarka. Wystawa obejmuje obrazy z okresu 20. lat i ma charakter retrospektywny.



Autorka z portretem Artura Rubinsteina

Redakcja



Autoportret

Zjazdy rocznikowe

Wehikuł czasu - zjazd rocznika 1994.

„A kiedy przyjdzie kres na kres...”



50-cioro wspaniałych z rocznika na hotelowych schodach

Już 20 lat minęło od ukończenia naszej „Słonecznej Uczelni”, a my, tzn. rocznik 1994 cofnęliśmy się w czasie, jak za sprawą czarodziejskiej różdżki i znowu byliśmy piękni, młodzi i lżejsi, zdrowsi, bez trosk i kłopotów, wolni... Tym wehikułem czasu była dla nas Olejnica, w której już po raz kolejny odbyło się rocznikowe spotkanie. 5 września 2014 roku na wezwanie Pisary (Marty

Pisarczyk) i Krychy (Katarzyny Jezierskiej) stawilo się 50-cioro absolwentów - dziewcząt i chłopców 40+ z najwspanialszego, studenckiego rocznika na świecie.

Początkiem zjazdu miał być uroczysty, wieczorny bankiet. Jednak już dużo wcześniej słyhać było powitalne, radosne pokrzykiwania i salwy śmiechu dobiegające z parkingu samochodowego. To tam, raz za razem podjeżdżały auta, a z nich wysypywali się kolejni jubilaci. Ludzie zjechali z różnych stron Polski a także świata, jak Lucyna Eisele-Hordziejewicz z Frankfurtu czy Kama - Kamila Kozłowska z dalekiego Londynu. Powitaniom i uściskom nie było końca. Czas na parkingu mijał tak szybko, że nagle okazało się, iż jest już 20-ta, a kuchnia czeka na nas z uroczystą kolacją, z lekka się niecierpliwiąc. Bardzo niechętnie porzuciliśmy parking i jego cudowną atmosferę, ale tylko dlatego, że w perspektywie czekało na nas jeszcze lepsze miejsce z mega pysznym jedzeniem, piciem i muzyką.

W olejnickiej stołówce powitał nas gospodarz Ośrodka Dydaktyczno-Sportowego AWF Wrocław, pan Ryszard Ludkiewicz, który po raz kolejny nie zawiódł naszych oczekiwań bankietowych. Potrawy przygotowane przez

panie kucharki były wyśmienite, a ich ilość przekraczała nasze możliwości. Imprezę otworzyły organizatorki zjazdu Krycha i Pisara, które witały każdego gościa indywidualnie, wywołując go na środek i wręczając pamiątkową plakietkę z imieniem, nazwiskiem i studenckim pseudonimem. Na odwrocie znalazł się skład biesiadujących w Olejnicy między 5 a 7.09.2014 roku. Ten uroczysty moment wręczania gościom w/w plakietek oprócz podniosłej chwili miał też dodatkowy aspekt. Aspekt poznawczy, a właściwie rozpoznawczy. Bo jeżeli do tej pory ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości „kto jest kto”, to ten rodzaj powitania na pewno je rozwił. Oczywiście wyczytywaniom kolejnych nazwisk oraz ksywek towarzyszyły radosne okrzyki i salwy śmiechu. Ale nikt z nas przybyłych na ten zjazd nie miał wątpliwości, że właśnie po to przyjechaliśmy na to spotkanie. A potem zaczęła się zabawa. Do tańca przygrywał nam zgrabny duecik DJ-ów pozyskanych z pobliskiego Przemętu. Na początku panowie źle ocenili preferencje muzyczne naszej grupy, oceniając je na podstawie wizualizacji pięćdziesięciorga 44-latków. Ale po krótkiej obserwacji oraz przegrupowaniu gustów i możliwości, zabawa trwała, trwała i trwała ... I trwała długo dłużej niż przewidywał podpisany z panami kontrakt. Były tańce, były śpiewy, był hymn AWF i nie tylko. Były nocne rozmowy, wspomnienia, nostalgia. A wszystko to w białe - czerwonych strojach, w które to zjazdowicze byli ubrani z okazji 20-lecia, a także z okazji rozpoczynających się właśnie w naszym kraju Mistrzostw Świata w piłce siatkowej. I nie wiem, do której to wszystko trwało, ponieważ ja wyszłam o 5.00, a byli tacy, co wracali idąc od razu na śniadanie. Ha, ha, ha.

Kolejny dzień, sobota, to już zajęcia fakultatywne z kajakarstwa, które prowadził dr Piotr Zarzycki, zumba, którą prowadziła mgr Anna Nowakowska-Sokołowska (Turewicz), zajęcia usprawniająco-relaksacyjne prowadzone przez dr Małgorzatę Kałwę. A na koniec mecz w piłkę siatkową, który zarządziła Krystyna. Składy były bardzo wyrównane, gdyż po obu stronach siatki znaleźli się czołowi siatkarze dolnośląskiej piłki siatkowej poprzedniego stulecia, ówczesnego Ikara Legnica - Piwo (Dariusz Popiwczak), Siata (Jarek Bujnicki), Torello (Paweł Murdza), Błaszka (Jacek Marczak), Dzidek (Przemysław Ludtke). W tym meczu wystąpiło naprawdę wiele gwiazd, jednak nie byłabym sprawiedliwa gdybym nie wspomniała o tej najjaśniejszej. Bez tego zawodnika nasz mecz nic nie byłby wart /nie wart byłby nic. Jego błyskotliwe akcje, heroiczna obrona, a przede wszystkim strój sportowy szczególnie obuwie oraz nienaganna sylwetka przyćmiewały wszystkich innych graczy. To Henryk Jurzak. Heniu jesteś wielki. Zarówno Ty, jak i wspomniani przez Ciebie efekt: „WOW”.

Po tych sportowych zmaganiach i krótkiej przerwie na toaletę przyszedł czas na bankiet nad jeziorem przy ognisku w Wigwamie. Jeżeli ktokolwiek z nas myślał, że uroczysta kolacja z poprzedniego wieczora to szczyt

naszych marzeń kulinarnych, to się mylił. To co przygotował dla nas na ten wieczór pan Ryszard i pani Krysia, która się nami opiekowała, to coś, co do dzisiaj pamiętają nasze kubki smakowe. Golonka, żeberka, szaszłyki, karczek, gołąbki i inne smakołyki, których nie potrafię wymienić. No i ilości nie do przejedzenia. Biesiadowanie w wigwamie to oczywiście gitara – tu udzielał się zaprzyjaźniony z nami kolega ze starszego rocznika Dariusz Spychała zwany Taśmą, a także tysiące opowiedzianych dowcipów, kawałów i anegdot, w których to niewątpliwie prym wiodł Grzesiu Grudziński, a także Tomek Marciniak. Był moment, że prowadzili swoisty Maraton Uśmiechu, po którym wielu z nas uruchomiło w sobie od dawna nie używane mięśnie, a po zjeździe narzekało na zakwasy. Ponieważ jakoś tak czas szybko mijał, ten wieczór i noc szybko zleciały. Pani Krysia była zmuszona wygonić nas z wigwamu, gdyż zaczynało świtać, a ona musiała niebawem wrócić do pracy w biurze ośrodka.

Pożegnalna niedziela to wspólne śniadanko, spacer po ośrodku i poważne rozmowy. To wymiana doświadczeń życiowych, opowieści o sukcesach i porażkach, o rodzinie i pracy. I nagle smutno nam się zrobiło, gdyż nadszedł czas powrotu do rzeczywistości. A było to trudne, bo oprócz tego, że grono dopisało to i pogoda nam się trafiła jak na zamówienie. Fajne jest także to, że dzięki naszym nadwornym fotografom Marcie Pisarczyk i Grzesiowi Szymalakowi zawsze możemy wrócić do tych wspólnie spędzonych chwil. Gdzie wydawać by się mogło czas stanął w miejscu w Olejnicy, gdzie przez moment znowu mieliśmy po dwadzieścia lat. I czy to sprawiła Olejnica, jej jezioro i las? Czy ludzie, którzy wtedy tam byli? Nie wiem? Wiem natomiast,



Ostatnie wspólne chwile po niedzielnym obiadku przed olejnicką stołówką

że łączyła nas tam jakaś niewidzialna, niesamowita więź i ciężko było się rozstać. Wiem, że na pewno jesteście przyjaciółmi sprzed lat, a wielu z nas przyjaźni się do dziś i spotyka się regularnie. Ustaliliśmy już kolejne spotkanie, a ponieważ zauważyliśmy, że czas zaczyna przeciekać nam przez palce odbędzie się ono szybciej niż zwykle. Tym bardziej, że już niedługo 70–cio lecie AWF Wrocław. A więc do zobaczenia wkrótce...

W czasie spotkania bardzo zapadła nam w serca piosenka Perfektu „A kiedy przyjdzie kres na kres” i to ona właśnie stała się symbolem naszego rocznika i swoistym hymnem zjazdu. Po powrocie do domu cudny filmik zmontowany z naszych zdjęć do podkładu tejże właśnie piosenki przestali nam Ania i Grzesiu Grodzińscy. To wspaniała i wzruszająca pamiątka.

W imieniu organizatorek oraz gości zjazdu składałam serdeczne podziękowania panu Ryszardowi Ludkiewiczowi za łaskawe spojrzenie na nasz rocznik, pani Krystynie Cieślińskiej-Szmatule dobremu duchowi biesiad oraz Piotrowi Zarzyckiemu rocznikowemu koledze, który służył dobrym słowem i pomagał w zakwaterowaniu naszej wesołej gromady. Dziękuję też wszystkim koleżankom i kolegom przybyłym do Olejnicy za stawienie się na wezwanie oraz za zaprezentowanie nienagannej postawy absolwenta AWF Wrocław. Przepraszam, że nie wszystkich udało mi się wymienić w tekście z imienia i nazwiska. Mam nadzieję, że nadrobię to w przyszłości.

Ze sportowym pozdrowieniem
Katarzyna Jezierska

Sylwetki

Nasi absolwenci, olimpijczycy ...



Genowefa Kobielska-Cejzik-Zimnoch

Jedną z pierwszych olimpijek związanych z wrocławską uczelnią była jej absolwentka (1951) i wykładowca (1956-60) Genowefa Kobielska - Cejzik - Zimnoch, która uczestniczyła w IO w Amsterdamie w 1928 roku.

GENOWEFA KOBIELSKA - CEJZIK – ZIMNOCH

ur. 24.04.1906, Łask (Łódź) - zm. 16.07.1993, Piaseczno

Lekkoatletka. Córka Konstantego i Anieli Piórkowskiej. Zawodniczka: ŁKS Łódź (1922-1928, 1930-31), Polonii Warszawa (1928-29, 1932-33, 1939) AZS Warszawa (1934-36), ZS Katowice (1937-38), a po II wojnie światowej zawodniczka Skry Warszawa (1945-46), AZS (1947-49), Unii (1953), Kolejarza Wrocław (1954). *Rekordzistka świata* w rzucie oszczepem oburącz - 67,82 m (10.06.1934 Jarosław). *Uczestniczka I ME Kobiet* (1938 - Wiedeń), ME (1934 - Londyn). *Srebrna medalistka AMŚ* (1935 - Budapeszt, 35,47 m). *8-krotna reprezentantka Polski* w meczach międzypaństwowych (1929-1939). *3-krotna rekordzistka* (dysk, oszczep), *mistrzyni Polski* (1937 1 m. oszczep). *10-krotna srebrna medalistka MP*: kula (1935, 1937), dysk (1934, 1935, 1937-39), dysk 1 kg oburącz (1928), oszczep 800 g (1926), 600 g (1930). *5-krotna halowa mistrzyni*: kula (1934, 1935, 1937, 1938), kula oburącz (1938) i *wicemistrzyni Polski*: kula (1936). *Rekordy życiowe*:



Medale olimpijskie - Amsterdam 1928

kula (4 kg) - 12,56 m (06.02.1938 Poznań), dysk (1 kg) - 40,11 m (30.07.1939 Warszawa), oszczep (600 g) - 36,24 m (31.08.1930 Warszawa).

***Olimpijka 1928 Amsterdam:** dysk - w elim. uzyskała 32,72 m. Nie zakwalifikowała się do finału. Sklasyfikowana na 8 m. w gronie 21 zaw. Zwyciężyła Halina Konopacka (Polska) - 39.62 m, RŚ.

* * *

Życie rodzinne, edukacja, zajęcia sportowe i zawodowe w przypadku Genowefy Kobielskiej - Cejzik były mocno urozmaicone i stanowiły do końca treść jej intensywnego i długiego życia.

Pomimo trudnej sytuacji rodzinnej i ciężkich warunków w kraju, Genowefa Kobielska ukończyła szkołę powszechną, a następnie kontynuowała naukę w Seminarium Nauczycielskim w Łodzi, gdzie w 1927 r. zdała maturę. Sportem zainteresowała się już w szkole uprawiając dzięki nauczycielowi wychowania fizycznego Wacławowi Robakowskiemu - hazenę (gra sportowa zbliżona do p. ręcznej, hazet - rzucić), koszykówkę, siatkówkę i lekkoatletykę (rzuty).

Zgodnie ze swoim zainteresowaniem i zamiłowaniem do sportu studiowała w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego (1929-31) i AWF w Warszawie (1938-39). Celem uzupełnienia wiedzy i doświadczeń przebywała na kursie gimnastyki kobiet w Kopenhadze (1929) oraz na kursie trenerów lekkiej atletyki w Budapeszcie (1934). Już w latach 30. pracowała, jako instruktor lekkiej atletyki. Swoje kwalifikacje zawodowe podnosiła pod okiem męża Antoniego Cejzika (olimpijczyk, lekkoatleta 1924, 1928), który był jednym z najlepszych trenerów w okresie międzywojennym tej dyscypliny sportu w Polsce.

Okres II wojny światowej spędziła w Warszawie pracując w Głównej Radzie Opiekuńczej. Po zakończeniu działań wojennych nadal była czynną sportsmenką reprezentując barwy Skry Warszawa (1945-47).

A potem nastał czas wrocławski i



Plakat Igrzysk 1928 - Amsterdam

przeprowadzka do tego miasta oraz starty w miejscowych klubach. Równolegle kontynuowała studia na Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego. Tytuł magistra wychowania fizycznego uzyskała 13 stycznia 1951 roku. Tu, jako studentka, a potem wykładowca podjęła pracę będąc związana przez kilka lat z uczelnią. Kolejnym etapem jej zatrudnienia, jako wykładowcy było Studium WF Politechniki Wrocławskiej (1956-1960). Oprócz pracy dydaktycznej, będąc pracownikiem Studium WF przy Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Wrocławskiego (późniejszej Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego), udzielała się także jako trener (I-kl.) w wielu miejscowych klubach (1947-60 Unia, Odra, AZS Wrocław) wychowując spore grono wybitnych lekkoatletów, olimpijczyków (Edward Adamczyk, Tadeusz Rut).

W nadmiarze obowiązków, jakby tego co jest, było jeszcze za mało, pełniła funkcję sędziny lekkoatletycznej oraz uczestniczyła w pracach Okręgowego Związku Lekkiej Atletyki we Wrocławiu (OZLA, powołany 04.04.1947) będąc członkiem zarządu i przewodniczącą rady trenerów (1954-60).

W 1931 roku Genowefa Kobielska wyszła za mąż za kończącego karierę zawodniczą, niezwykle utalentowanego sportowca, dwukrotnego olimpijczyka (10-bój: 1924 Paryż - 11 m. na 36 zaw., 1928 Amsterdam - 18 m. na 34 zaw.) Antoniego Cejzika (ur. 15.05.1900, Jelec-Lipiecko ok. Moskwy/Rosja), z którym związała się na dalszy, jak się później okazało, krótki okres życia.

Cejzik w styczniu 1924 r. wraz z rodziną przeniósł się do Polski. Uprzednio z powodzeniem startował w barwach moskiewskiego klubu (rekordzista kraju w 10-boju, 8-krotny rekordzista, wykładowca, instruktor w Głównej Wojennej Szkole Szkolenia Pracujących i Akademii Sportowo-Wojskowej).

W Polsce, przez cały okres kariery startował w barwach Polonii Warszawa (1924-30). Najwszechstronniejszy lekkoatleta, ośmiokrotny reprezentant Polski w meczach międzypaństwowych, wielokrotny rekordzista i posiadacz mistrzowskich tytułów (26), to w skrócie pasmo sukcesów tego utalentowanego o wspaniałych warunkach fizycznych (188 cm, 84 kg)



Stadion Olimpijski - Amsterdam

sportowca. Za swoje dokonania w plebiscycie „Przeglądu Sportowego” na 10 najlepszych sportowców Polski zajął w 1926 roku zaszczytne 3 m., a w latach 1928 i 1929 był siódmy i ósmy. W Polsce piastował Cejzik wiele sportowych funkcji będąc trenerem związkowym PZLA (1931-36) przygotowywał zawodników do IO w Los Angeles i Berlinie) oraz szkoleniowcem klubowym Skry i Polonii Warszawa (1936-39). W sierpniu 1939 r. został zmobilizowany i wziął udział w kampanii wrześniowej. Jako żołnierz 13. Pułku Piechoty 8 DP Armii „Modlin” podczas ciężkich walk w rejonie Zaborowa i Borzęcina zginął (12.09.1939, ok. Zaborowa) i tam został pochowany w zbiorowej żołnierskiej mogile.

*

Genowefa Cejzik po zakończeniu kariery sportowej i trudnych latach związanych z odejściem męża, zmęczona tempem życia, wyprowadziła się do Mrokowa (ok. Warszawy). Tam, nie zapominając o sporcie, czego najlepszym dowodem były stałe kontakty z Jadwigą Wajs - Marcinkiewicz (3-krotna olimpijka, miotaczka: 1932, 1936, 1948, chrzestna córki Ewy) i Marią Kwaśniewską - Malaszkowską (olimpijka: 1936 oszczep - 3 m.), prowadziła dodatkowo wraz z drugim mężem Julianem Zimnochem gospodarstwo ogrodnicze (1960-1980).

Zimnochowie mieli jedną córkę Ewę, która wzorem Mamy uprawiała także lekkoatletykę (rzut oszczepem). Pani Ewa Zimnoch - Guzowska (mieszkanca Mrokowa), także jak jej Matka godziła sport z nauką uzyskując tytuł profesora nauk rolniczych z zakresu agronomii.

Kobielska - Cejzik - Zimnoch zmarła 16 lipca 1993 r. w szpitalu w Piasecznie. Przyczyną zgonu był nowotwór okrężnicy. Pochowana została na cmentarzu parafialnym kościoła św. St. Kostki w Mrokwie. Tam, w rodzinnym grobie spoczywa także jej drugi mąż Julian Zimnoch.

Genowefa Kobielska - Cejzik - Zimnoch ps. "Kolska", była wszechstronną sportsmenką, trenerką i wybitną działaczką polskiej lekkoatletyki oraz olimpijką z Amsterdamu (1928). Zapisła się trwale w annałach polskiego sportu i ruchu olimpijskiego. Za swoje sportowe i naukowe dokonania otrzymała liczne wyróżnienia i odznaczenia m.in. Złotą Odznakę za zasługi położone w rozwoju sportu lekkoatletycznego na terenie Śląska (1923-58), Medal X-lecia Sportu 1944-54, Złotą Odznakę PZLA, Medal 100-lecia Sportu Warszawskiego (1878-1978), Odznakę Zasłużony dla Sportu Woj. Łódzkiego, Srebrny Krzyż Zasługi oraz Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski Polonia Restituta.

Jerzy Szczygielski

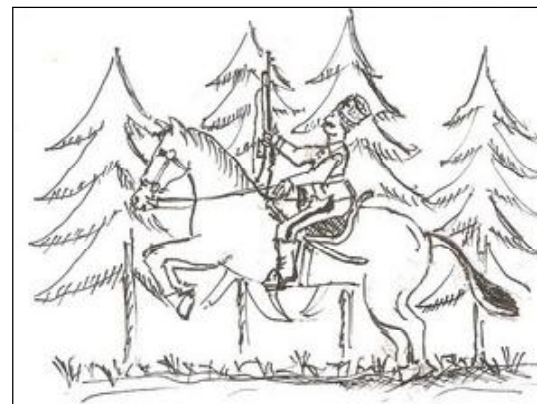
Wspomnień czar

Sowieci Litwini Sowieci

17 września 1939 roku, na mocy układu Ribbentrop - Mołotow, Armia Czerwona przekroczyła granice Polski, zajmując połowę terytorium państwa. Wojsko Polskie nie broniło Wilna. Garnizon miasta i przebywające tam oddziały, zgodnie z rozkazem Sztabu Naczelnego Wodza wycofały się na Litwę, gdzie zostały internowane. Obronę miasta, podjęli ochotnicy ze spontanicznie zorganizowanego oddziału samoobrony i wileńscy harcerze. Ci pierwsi ostrzelali sowieckie czołwki z broni maszynowej i ręcznej, ale po wprowadzeniu przez nieprzyjaciela do walki ciężkich czołgów, zostali zmuszeni do wycofania się i zaniechali obrony. Lepiej spisali się harcerze, niszcząc butelkami z benzyną kilka sowieckich maszyn. Jedna z nich, porzucona przez załogę w nurcie Wilii koło Zielonego Mostu, jeszcze długo tam tkwiła.

Po wkroczeniu Sowietów do Wilna, miasto ogarnęła fala prześladowań i terroru NKWD. Ta ich sławetna służba bezpieczeństwa, rozpoczęła masowe aresztowania i deportację w głąb Rosji polskiej inteligencji. Na pierwszy ogień w mieście poszli oficerowie wojska z rodzinami, legioniści z 1920 roku i funkcjonariusze policji. Ich los wkrótce podzielili, sędziowie i prokuratorzy oraz liczni uchodźcy z centralnej Polski. Na wsi prześladowaniami zostali objęci: właściciele majątków ziemskich, kułacy tj. zamożni gospodarze, osadnicy wojskowi i Służba Leśna. Haniebnie znaleźli się wtedy skomunizowani wileńscy Żydzi, pomagając zaborcom w sporządzaniu list proskrypcyjnych.

Bezholowie i rabunkowa gospodarka sowieckich okupantów, wywożących zapasy żywności i nagminnie wykupujących wszelkie towary w sklepach, doprowadziły do sytuacji, że w mieście zapanował głód. Zmuszeni ostatecznością mieszkańcy, masowo wędrowali na wieś w poszukiwaniu żywności, którą nabywali



Kozacy

drogą wymiany początkowo za biżuterię i zegarki, a następnie za garderobę oraz przedmioty domowego użytku.

Osobiście Rosjan zobaczyłem po raz pierwszy w Czarnym Borze, zaraz po ich wkroczeniu na Wileńszczyznę. Zbierając rankiem grzyby w pobliskim zagajniku, ujrzałem nagle konny patrol Kozaków, galopujący leśnym duktem. Na głowach mieli papachy z czerwonymi gwiazdami, a w rękach krótkie kawalerskie karabinki. Po zatrzymaniu się i zlustrowaniu okolicy lornetką, zniknęli nagle, jak się pojawili.

Pod wieczór tegoż dnia, przez naszą osadę przejechał na kanciastych ciężarówkach oddział czerwonoarmistów. Jakże nędzne to było wojsko. Ich szarobure, nieobrobione i brudne szynele były przepasane skośnie kocami. Na głowach mieli furażerki, albo „budionowki”. Parciane pasy obciążone były takimiz ładownicami. Długie karabiny z trójkątnymi bagnetami mieli także na parcanych pasach. Co poniektórzy swoje „wintowki” nosili na... sznurkach. Nie mieli naramienników, a ich dystynkcje w postaci jakichś rubinowych trójkącików i kwadracików widniały na kołnierzach bluz. Zatrzymali się na polanie niewielkiego zagajnika. Tam wyładowali się, zaparkowali samochody i rozbili obozowisko. Po ustawieniu broni w kozły, żołdaci rozpalili ogniska i zaczęli warzyć strawę w aluminiowych kociołkach. Natychmiast zjawiała się liczna dzieciarnia, łącznie ze mną, która z ciekawością gapiała się na niecodziennych przybyszach. Jakiś oficer, chyba politruk, rozdając dzieciom szare dziurkowane suchary, coś do nas mówił po rosyjsku, ale nikt tego nie rozumiał. Wieczorem dzieci z biwaku wyproszono, a żołnierze zajęli się przygotowaniem noclegu pod gołym niebem.

Wczesnym rankiem już ich nie było. Pojechali na Wilno. Ale miejsce po nich wołało o pomstę do nieba. Schludna niegdyś polana na której biwakowali żołdaci, zmieniła się nie do poznania. Zryta była płytkimi dołami, niesłychanie zaśmiecona i totalnie zas...na rzadkimi odchodami. Widocznie żołdaci chorując na biegunkę i załatwiając się gdzie popadnie, zamienili uroczą jeszcze wczoraj polanę w śmierdzącą kloakę. Na tym zapaskudzonej miejscu, przez długi czas trawa nie chciała rosnąć.

W listopadzie 1939 roku, na mocy wzajemnego układu, Sowieci przekazali Wileńszczyznę z Wilnem Litwie, jednakże za cenę pozos-



tawienia tam swoich wojskowych baz. Wejście litewskiego wojska do miasta, odbyło się z wielką pompą. Nieliczni ich rodacy i znacznie liczniejsi przybysze z Kowna, witali wkraczających do Wilna żołnierzy kwiatami i trójkolorowymi flagami. Tłumnie zgromadzeni na trasie przemarszu gapie, z ciekawością obserwowali to, w porównaniu z siłami Sowieckimi, porządnie umundurowane i uzbrojone litewskie wojsko - dziarsko maszerujące wileńskimi ulicami.

Vilnius, bo tak się teraz nazywała nowa stolica Litwy, po zrzuconiu sowieckiego jarzma odetchnęło. Jego mieszkańcom przestał już dokuczać głód, groźba uwięzienia i widmo okrutnej deportacji na Sybir. Litwini, nowi gospodarze pozyskanych terenów, zaczęli energicznie wprowadzać swoje nowe porządki. Niestety od początku okazały się one wrogie i antypolskie. Obowiązującym językiem urzędowym stał się litewski, zmieniono nazwy miejscowości i ulic. Wszystkie urzędy i całą administrację przejęli Litwini, co spowodowało masowe zwolnienia z pracy zatrudnionych tam dotąd Polaków. Mój wujek, wysoki urzędnik Dyrekcji PKP, znalazł zatrudnienie w kotłowni jako... palacz. Rozpoczęły się powszechne szykany polskiej ludności w urzędach oraz młodzieży w szkołach, nie znającej obowiązującego tam teraz języka litewskiego. Mnożyły się przypadki brutalnego traktowania polskich obywateli przez litewskich policjantów, nazywanych z racji swojego operetkowego umundurowania „kałakutasami” (indyki). Srożyła się tajna policja polityczna – Sauguma, zapelniając więzienia polskimi patriotami. Nadrzędnym celem tej wrogiej i szowinistycznej polityki władz, była prowadzona na siłę relituanizacja miejscowego społeczeństwa, którego obywatele według władz byli spolszczonymi Litwinami. A warto wiedzieć, że według spisów ludności przed wojną, w Wilnie było Litwinów tylko niecałe 2 procent.

Natomiast za sprawą Litwinów, i to im trzeba przyznać, diametralnie poprawiła się w mieście i całym regionie sytuacja żywnościowa. Chleba było w bród, a prężnie działające ich centrale takie jak Maistas (mięso, wędliny), Pienocentras (wyroby mleczne), zapelniały puste dotąd sklepy swoimi doskonałymi produktami. Dobra te wobec panującej drożyzny i niekorzystnej wymiany pieniędzy oraz ogólnej wtedy pauperyzacji polskiej ludności, nie były powszechnie dostępne, ale nasi rodacy jak zwykle radzili sobie.

W owym czasie, zacząłem z siostrą uczęszczać do Szkoły Powszechnej w Czarnym Borze, która teraz nazywała się „Mokykla”. I z miejsca wybuchła tam awantura, kiedy pochodzący z Kowna nauczyciel prowadzący w naszej klasie pierwszą lekcję zaskoczony, że nie znamy języka litewskiego, bo nie rozumiemy co do nas mówi, i posądzając młodzież o bojkot, pobiegł wściekły do dyrektora ze skargą. Później, gdy z konieczności przywrócono



na lekcjach język polski jako wykładowy, sytuacja się unormowała i zaczęliśmy się uczyć - także litewskiego. Z trudem, bo z zastrzeżeniem z tego języka którego nie znośłem, udało mi się jednak ukończyć 6 klasę.

Litwa nie cieszyła się długo niepodległością, bo tylko do czerwca 1940 roku. Wtedy to Sowieci podstępnie zrywając niedawne układy, zajęli trzy kraje nadbałtyckie: Litwę,

Łotwę i Estonię. Wkrótce też państwa te, weszły w skład ZSRR jako sowieckie republiki. Do Wilna i na Wileńszczyznę wróciła władza sowiecka, pozostawiając jednakże administrację regionu w rękach przekabacanych na socjalizm Litwinów. Ponownie zaczęły się prześladowania polskich obywateli, ale nie tylko, bo cierpieli także Litwini, przeciwni aneksji kraju przez Sowieców. W Wilnie i na całej Litwie zapełniły się więzienia. Wznowiono masowe deportacje kolejną cywilnej ludności do sowieckich łagrów na Syberii. Zapanowało ogólne przygnębienie i obawa przed niepewną przyszłością. Nikt już nie był panem swego losu.

Naszą rodzinę jak dotąd oszczędzono. Moja matka pracowała dalej na kolei. Ojciec zajął się chałupnictwem, wyrabiając modne z konieczności podówcza damskie drewniaki, które ozdabiał rzeźbami. Hodowaliśmy też króliki. Ja zaś zacząłem uczęszczać do nowo utworzonego w Wilnie gimnazjum, przy ulicy Ostrobramskiej. Była to na wzór sowieckiego szkolnictwa tzw. 10-ciolatka. Egzaminy pomyślnie zdałem do 5 klasy. Kadre pedagogiczną tej placówki stanowili wytrawni nauczyciele z Gimnazjów i Liceów im. Adama Mickiewicza i O.O. Jezuitów. Do tej szkoły dojeżdżałem z Czarnego Boru kolejną, wykupując miesięczne bilety. Kiedyś w środku miesiąca taki bilet zgubiłem. Nie przyznając się w domu do zguby, jeździłem do końca miesiąca na gapę, bawiąc się z konduktorami w kotka i myszkę. Regularnie po zajęciach w szkole, mając sporo wolnego czasu do odjazdu pociągu, spacerowałem sobie po ulicach miasta, z upodobaniem poznając i podziwiając jego uroki. Nauka w gimnazjum szła mi dobrze, więc po przerobieniu materiału pierwszej klasy gimnazjum w czerwcu 1941 roku, bez trudu otrzymałem promocję do następnej.

W tym czasie nasiliły się na Wileńszczyźnie deportacje ludności na wschód. Wtedy to znajomy mojego ojca, sowiecki major z pobliskiej jednostki, grywający z nim w szachy, ostrzegł go przed grożącym nam wywiezieniem na Sybir. Byliśmy podobno na liście, gdyż mój ojciec w 1920 roku, służąc

ochotniczo w jednostce lotniczej na Porubanku k/Wilna, bronił Polski przed Bolszewikami. W tej sytuacji bezzwłocznie zrejterowaliśmy na wieś, do zaprzyjaźnionych gospodarzy. Dowiedzieliśmy się później od sąsiadów, że w nocy po naszej ucieczce, funkcjonariusze NKWD dobijali się do drzwi budynku na przystanku gdzie mieszkaliśmy. Mieliliśmy szczęście - ocaliliśmy. Po kilku dniach pobytu na wsi i wkroczeniu Niemców do Wilna, mogliśmy już bezpiecznie wrócić do domu. Było to paradoksalne, ale szczęśliwe dla nas zrzęcenie losu. Oto Niemcy - przyszli okupanci Wileńszczyzny uchronili nas od koszmaru deportacji do sowieckich łagrów. Zaraz też Wilno opuszczone w popłochu przez bolszewików, hitlerowcy zajęli prawie bez walki. Wielce pomogło im wtedy litewskie wojsko i policja, wszczynając akcję dywersyjną na tyłach cofających się Sowieców. Ci dobrze zapamiętując sobie zdradziecką postawę litewskich patriotów, srogo im odpłacili za to po swoim powrocie na Litwę w 1944 roku. A tymczasem w Wilnie i na Litwie, jednego okupanta z czerwoną gwiazdą zastąpił drugi z czarną swastyką.

Antoni Kaczyński

Przygoda z jeździectwem



Moja przygoda z jeździectwem zaczęła się w latach siedemdziesiątych. Pracowałem wtedy w Studium WF Akademii Medycznej we Wrocławiu wraz z naszym absolwentem Wiesiem Litońskim. Wiesio zaproponował mi zorganizowanie obozu jeździeckiego dla studentów w Kamieńcu Żąbkowickim, dokąd sprowadzono, dzięki trenerowi Lewandowskiemu z Książa, konie pełnej krwi angielskiej z Torów Wyścigowych w Warszawie. Na pierwszym dwutygodniowym obozie szybko opanowałem

Władysław Kopyś na koniu Basior – 1978 rok

umiejętność jazdy konnej, doskonaląc ją na następnych obozach jeździeckich. Po dwóch latach obozów w Kamieńcu, następne organizowaliśmy już w stadninie koni w Książu koło Wałbrzycha. Zaproponowano nam tam bowiem, bardzo profesjonalne warunki do prowadzenia zajęć jazdy konnej. Jazdy prowadziliśmy z pomocą tamtejszych instruktorów jeździectwa i mieliśmy do dyspozycji ujeżdżalnię oraz hipodrom. W latach osiemdziesiątych w Książu odbywały się zawody o randze krajowej i międzynarodowej w ujeżdżeniu, w skokach przez przeszkody, a także WKKW. W organizowaniu obozów pomagał nam wrocławski Akademicki Klub Jeździecki, który również urządzał obozy dla studentów wszystkich uczelni Wrocławia.

Podczas zawodów organizowanych przez Polski Związek Jeździecki studenci Akademii Medycznej pomagali jako wolontariusze. W Książu odbywały się też zgrupowania kadry jeździeckiej w ujeżdżaniu i skokach przez przeszkody. Często nasze obozy organizowane były w tym samym czasie. Mieliśmy zatem okazję poznać



*Hodowla koni Państwa Mazurek –
Panków 1992*

czołowych zawodników i trenerów jeździectwa w Polsce oraz zawodników zagranicznych. Na tych obozach poznałem zawodników z kadry, którzy są absolwentami naszej uczelni. Jednym z nich był Artur Bober, reprezentant Polski w WKKW, wielokrotny mistrz i wicemistrz Polski, członek kadry olimpijskiej, startujący na jednym z najlepszych koni w Polsce – „Bemolu” (czystej krwi angielskiej). Z Arturem jeździłem na jego koniach: „Bemolu”, „Czupczyku”, i „Rosario”. Artur trenował w Morawie koło Strzegomia, gdzie czasami pomagałem mu w treningach. Zaprzyjaźniłem się też z Wojtkiem Dąbrowskim, synem dyrektora stadniny w Książu – Zbyszka Dąbrowskiego. Wojtek studiował na naszej uczelni i trenował w Książu, gdzie mieszkał z rodzicami. Był zawodnikiem w ujeżdżaniu, zdobywał mistrzostwo i wicemistrzostwo Polski w tej konkurencji oraz reprezentował kraj na zawodach międzynarodowych. W 1982 roku podpisał kontrakt w Turcji i spędził trzynaście lat w Ankarze jako trener tureckiej kadry w ujeżdżaniu. Wojtka odwiedzałem w Turcji, a przy okazji poznawałem tamtejsze kurorty.

Wiadomo, że jeździectwo jest kontuzjogenną konkurencją, więc kontuzje i urazy kręgosłupa oraz kończyn górnych i dolnych zdarzały się bardzo często. Ja, od czasu obrony pracy doktorskiej pod koniec lat siedemdziesiątych, specjalizuję się w terapii manualnej. Wielu jeźdźcom, którzy po upadku z konia doznawali rozmaitych urazów kręgosłupa, pomagałem w leczeniu tych kontuzji. Ponieważ moje zabiegi były skuteczne, chętnie korzystali oni z mojej pomocy. Dzięki temu poznałem wielu wybitnych trenerów i zawodników nie tylko z Polski, ale i z Niemiec oraz Austrii. Wśród tych, którym pomogłem, był bogaty Niemiec z Berlina oraz szef Szkoły Jazdy w Wiedniu. Przez wiele lat współpracowałem z nimi w charakterze terapeuty.

Jeździectwo zawsze mnie pasjonowało i dawało mnóstwo przyjemności, szczególnie podczas jazdy w terenie. Przeżyłem też wiele niezapomnianych przygód. Związałem się z tą dyscypliną na wiele lat. Bywałem na zgrupowaniach kadry WKKW w Białym Borze, w Drzonkowie, koło Zielonej Góry. Posiadam drugą klasę sportową w skokach przez przeszkody. Do dziś jestem zapraszany na wszystkie zawody jeździeckie, między innymi na Mistrzostwa Europy w Morawie koło Strzegomia. Zawarte przed laty przyjaźnie trwają po dzień dzisiejszy.

Władysław Kopyś

Pro memoria

Tadeusz Teichert (1944 – 2015)

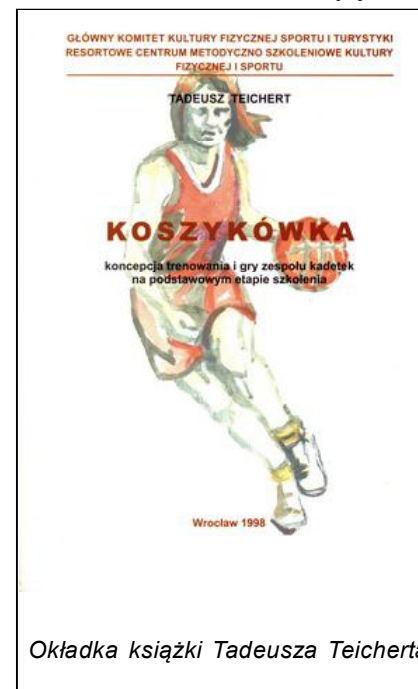
12 stycznia 2015r. odszedł od nas Tadeusz Teichert trener, pedagog, prawy człowiek, o czym zawiadamia naszą społeczność poprzez Biuletyn siostra Aleksandra Pastuszko.

Tadeusz zmarł po długiej i ciężkiej chorobie, w zamkniętym Zakładzie Opiekuńczo Leczniczym, w Mieroszowie za Wałbrzychem. Przebywał tam 6 lat, od jesieni 2008r. W szybkim tempie choroba Alzheimera poczyniła spustoszenie w jego organizmie, a ja pozbawiona byłam (razem z siostrą) możliwości widywania brata w zakładzie, bo został ubezwłasnowolniony przez żonę i córkę. Sprawy w sądzie ciągnęły się dwa lata. W 2010 r. dostałyśmy pozwolenie od sądu. A w zakładzie umieszczony był taki napis: „Nie zapominajcie o tych, co już zapomnieli”. Nie wiem czy Tadeusz jeszcze coś rozumiał, czy nas poznawał, ale czuł, uśmiechał się, nawet tańczył przed telewizorem. Panie opiekunki mówiły na Tadeusza „maratończyk”, bo cały czas chodził i chodził w kółko; ale po obiedzie, jak nas nie było, przywiązywali chorych do krzeseł i tak czekali na podwieczorek. Zawsze był pogodny, taki wyciszony. Nie zdawał sobie już sprawy ze swego stanu.

Tadeusz ur. się 17 lutego 1944 r. w Jędrzejowie, jako „prezent imieninowy dla taty od mamy”. A czasy były ciężkie. Wojna. Rodzice wysiedleni z Jarocina i wysłani do Opoczna, przemieszczali się kolejno do Rozwadowa, do Jędrzejowa i z powrotem. Po zakończeniu działań wojennych do domu rodzinnego w Jarocinie Tata nie mógł wrócić. Ubek przyłożył pistolet do głowy Ojca i powiedział: „jak chcesz, żeby twoje dzieci żyły to spie...” Mieści się tam teraz policja, a kamienica była duża z restauracją i hotelem. Bez domu, głodni poniewierali się, aż dotarli do Leszna, gdzie urodziłam się ja, Ola. Tata szukał ciągle pracy, bo restauracja dworcowa, którą otworzył mu Dziadek w 1939 r. została zbombardowana, tak jak Wrocław, do którego dotarli i zamieszkali przy ul. Lotniczej, w bloku przy Lotnisku. Schodów jeszcze nie było, więc wchodziliśmy do mieszkania po drabinie. W czasie wojny Hitler przyjmował tu swoje wojska i jest to dom zabytkowy, mieszkanie piękne, duże i słoneczne. Tata całe życie miał marzenie, że wróci do Jarocina, na swoje. Prawnicy oszukiwali, że niby coś załatwią, ale to były mrzonki. Na szczęście zawód księgowego dał mu pracę na lotnisku (i mamie też). Było to lotnisko pasażerskie z piękną poczekalnią i stolikami marmurowymi. Wielkie Douglasy lądowały i startowały po trawie, ale zakopywały się i grzęzły. Przenieśli je więc, a tu zrobili lotnisko sportowe z lekkimi Kukuźnikami, Junakami i szybowcami. Wszystkim lataliśmy. Dzieciństwo mieliśmy cudowne, jak na owe czasy. W lecie trawa rosła taka wysoka, że godzinami

bawiliśmy się w chowanego, łapaliśmy chrabąszcze, a kijanki w bardzo dużym basenie przeciwpożarowym. Tu z małymi żabkami kąpaliśmy się i uczyli pływać, a potem to już na basenie na Popowicach i na gliniankach. W zimie jeździliśmy na łyżwach (przypinanych do butów) po wyslizganej przez samochody ulicy Lotniczej. Samochodów jeździło tak mało, że między jednym, a drugim pomykaliśmy po ubitym, śliskim śniegu. Na sanki chodziliśmy na górkę, na ulicę Sielską do Pilczyc. Zjeżdżając z niej w dole widać było ruskie koszary. Teraz jest tam osiedle Kazanów, na dawnych terenach zalewowych. Do przedszkola, do Pilczyc, wszystkie dzieciaki z lotniska wożono Willisem. Ale była to frajda. Do podstawówki, 19-tki, też jeździliśmy do Pilczyc, ale już tramwajem. Ledwo mogliśmy wsiąść, tak wysoko były schody. W podstawówce bardzo prężnie działało harcerstwo i sekcja modelarstwa. Tadeusz godzinami kleił modele. W XII Liceum przy ul. Podwale, do którego chodziliśmy, była już tylko koszykówka. Nauczycielem wych. fiz. i pierwszym trenerem Tadeusza, który zaszczerpił mu miłość do tej dyscypliny, był profesor Kazimierz Zasucha. Jako junior trenował w WKS Śląsk, a jako student II-go roku WSWF we Wrocławiu był już obserwatorem FIBA na XIII Mistrzostwach Europy w Koszówce Mężczyzn we Wrocławiu w 1963 r., i mnie też tam zabrał. Tadeusz, studencki rocznik 1962-66, w 1966 r. był już trenerem koszykówki II kl. Równocześnie

przygotowywał się do zakończenia specjalizacji z rehabilitacji. Tadeusz był tytanem pracy. Pamiętam, jak na II-gim roku studiów budowaliśmy łazienkę w naszym rodzinnym mieszkaniu i tak mu zostało. Już w swoim kładł tynki, boazerie, układał kafelki i kafle. Wszystkie remonty to jego dzieło. Pojechał nawet do Szwecji, żeby zarobić na samochód i jak potem opowiadał, „w życiu nie rozbierałby takiego wysokiego komina”. Za zarobione pieniądze kupował części do samochodu i sam go złożył w garażu. „Znam każdą śrubkę w tym samochodzie” - chwalił mi się. Zaraz po studiach został kierownikiem Osiedlowego Klubu z kawiarnią „Kabaretowa” przy ulicy Sienkiewicza, a potem, do 1990 r., Prezesem Spółdzielni Pracy dla inwalidów CHEMIPOL. Jako



Okladka książki Tadeusza Teicherta

nauczyciel-wychowawca pracował w specjalistycznym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym przy ul. Parkowej. Była to bardzo ciężka praca, a przecież od 1979 r. koordynował pracą sekcji koszykówki Międzyszkolnego Ośrodka Sportowego we Wrocławiu. Zespoły kadetek i juniorek MOS-u Wrocław wielokrotnie stawały na podium Mistrzostw Polski. Był członkiem komisji szkoleniowej Zarządu OZKosz we Wrocławiu i trenerem Makroregionu Dolnośląskiego. W 1998 r. zespół jego kadetek zajął II m. w IV Ogólnopolskiej Olimpiadzie Młodzieży w sportach halowych-Poznań '98, uzyskując tytuł Wicemistrzyni Polski. W tym samym



Tadeusz Teichert z siostrą Olą Pastuszką na Rynku we Wrocławiu



W parku ze swoim psem

roku wydał publikację pt. „Koszykówka – koncepcja trenowania i gry zespołu kadetek na podstawowym etapie szkolenia”, która była pracą trenerską na I klasę. Tadeuszowi zamarzyło się startować w konkursie na dyrektora Zakładu Rehabilitacji Zawodowej Inwalidów przy ul. Wejcherowskiej. Jako dyrektor tej placówki w latach 1992 – 1999, unowocześniał ją, zrobił hotel, zbierał fundusze na wózki inwalidzkie do gry w koszykówkę, na windę dla niepełnosprawnych... Zaangażowany, wykonał ogrom pracy. Ale przyszły złe czasy. Placówkę

chciano zlikwidować. Tadeusz występował w telewizji w jej obronie, ale to jemu postanowiono udowodnić jakieś niedociągnięcia. I choć Tadeusz sprawę wygrał, załamał się. Po pierwsze zwolnienie poszedł do lekarki, „bo Dusza Go bolała”. Wpadł w depresję. Jedyne jego przyjaciół, to jego pies - tak mi powiedział. Nie miał mu kto pomóc. Córka nie zdążyła mu powiedzieć, że Go kochała. Za to bardzo się Ojcem zajmowała podczas choroby. A ja byłam tak daleko. Pracowałam i jeszcze opiekowałam się chorym mężem, który zmarł też za wcześnie. Odwiedzałam Tadeusza, mojego kochanego brata częściej, jak poszłam na emeryturę i to nie sama. Pamiętał też o Tadeuszu Jurek Reszka, mój kolega z roku, a Jego z boiska, dobry przyjaciel. Dziękuję Ci Jurku w imieniu swoim i Tadeusza.

Żegnaj bracie.

Aleksandra Teichert-Pastuszko

Prof. dr hab. n. med. Zbigniew Jethon (1929 – 2015)



Prof. dr hab. n. med. Zbigniew Jethon

Płk. Prof. dr hab. med. Zbigniew Jethon urodził się 18 lutego 1929 roku. Ukończył studia lekarskie na Akademii Medycznej we Wrocławiu i tam pracował w Zakładzie Fizjologii do 1957 roku. Po ukończeniu specjalizacji z medycyny lotniczej podjął pracę jako kierownik Pracowni Fizjologii Ogólnej najpierw w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej, następnie w Wojskowym Instytucie Higieny i Epidemiologii, gdzie pracował do 1980 roku. W następnych latach kierował Katedrą Fizjologii Człowieka na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, był kierownikiem Zakładu Biomedycznych Podstaw Kultury Fizycznej na Uniwersytecie Szczecińskim, kierownikiem Katedry Medycyny Sportowej i Higieny oraz Katedry Rekreacji Ruchowej i Ekologii Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu, a także kierownikiem Katedry Nauk Medycznych w Wyższej Szkole Fizjoterapii we Wrocławiu. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim i Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Był autorem ponad 550 publikacji z zakresu medycyny lotniczej i kosmicznej,

higieny pracy i ergonomii oraz fizjologicznych podstaw rehabilitacji. Zmarł 19 stycznia 2015 roku. Spoczywa na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu.

Wspomnienie o Krystynie Stachowskiej

Krystynę z uczelni znałam bardzo słabo. Poznałam Ją bliżej u naszej wspólnej koleżanki Grażyny Abramek-Kozak, również absolwentki „Słonecznej Uczelni”. Spotykaliśmy się na imieninach, urodzinach, z okazji „Sylwestra”, czy na brydżu. Na tych imprezach zawsze też byli obecni Teresa i Jurek Fidzińscy (oni też już przeszli na drugą stronę). Tworzyliśmy zgrany zespół przyjaciół. Krystyna zawsze była wesoła, radosna, uśmiechnięta, opowiadała kawały, była duszą towarzystwa. Kilka razy gościłam Ją u siebie w Ząbkowicach. Bardzo lubiła „Barkę” poświęconą Janowi Pawłowi II, często ją nuciła.

Na spotkaniu opłatkowym w grudniu 2008 roku umówiliśmy się na spotkanie w styczniu następnego roku. Kiedy zadzwoniłam do Niej, by się umówić, usłyszałam od Andrzeja, że Krystyna nie żyje. Mówiąc mi to rozplakał się jak dziecko.

6 stycznia minęło 6 lat od Jej śmierci. Tym wierszem chcę uczcić tę smutną rocznicę.

Siedem dni po Krystynie, 13 stycznia 2009 roku, odeszła wspomniana wcześniej Grażyna.

*Zapadła cisza dokoła
Wszyscy czekają co będzie
Nie ma dzisiaj Krystyny
Choć są Jej imieniny.*

*Gdzie jesteś droga przyjaciółko
Słyszemy Ciebie w sali
Snują się smugi cienia
I tupią kroki w oddali.*

*Choć Ciebie nie ma wśród nas
Obecność Twoją czujemy wszędzie
Twój uśmiech, dowcip, osobisty czar
Na zawsze z nami będzie.*

Krystynie

Albina i Bronisław Pietrasowie

Listy

Życzenia

Pani Halino,
na Pani ręce składam życzenia świąteczne dla wszystkich Koleżanek i Kolegów, redaktorów Biuletynu Absolwenta.

Niech te święta Bożego Narodzenia upłyną w radości, zdrowiu i spokoju. W Nowym Roku 2015 - wszelkiej pomyślności.

Z pozdrowieniami Izabella Degen

PS. Przesyłam kilka miniatur poetyckich świątecznych.



Bałwankokotek Tosi

Kochani Redaktorzy oraz Sympatycy Biuletynu!

Bałwanko-kotek (albo odwrotnie) poszukuje tą łopatką śniegu, a wszystkim składa życzenia zdrowia, sił do wszelkiej pracy i pomyślności. To takie ładne, staromodne określenie, które niech dla każdego oznacza wszystko to, o czym zamarzy, pomyśli, czego sobie zażyczy w ten piękny świąteczno-rodzinny czas i na cały przyszły Nowy 2015 Rok.

*Baśka z Górców
ciągle jeszcze zielonych*

Wesołych Świąt i wszelkiej pomyślności i szczęśliwości w Nowym Roku 2015, życzy wszystkim przyjaciółom ze Stowarzyszenia - zawsze Wam serdeczny

Jacek Dolecki

Serdeczne życzenia zdrowych, spokojnych Świąt Bożego Narodzenia oraz wiele szczęścia w Nowym Roku 2015 życzy

Jerzy Wielgosz (1962)

Szanowni Państwo!

Radosnych, pogodnych Świąt Bożego Narodzenia oraz dużo dobrego zdrowia w Nowym Roku 2015, samych radosnych i pogodnych dni oraz szczęścia i satysfakcji w podejmowaniu decyzji dla całego Kolegium Redakcyjnego życzy

Zdzisław Kadziak (1962)

Pogodnych, spokojnych Świąt Bożego Narodzenia oraz szczęśliwego Nowego Roku w zdrowiu z Bożym błogosławieństwem życzy całemu Zarządowi

Tadeusz Dłużyński (1963)

Świąt wypełnionych radością i miłością, niosących spokój i odpoczynek, Nowego Roku spełniającego marzenia, pełnego optymizmu, wiary, szczęścia i powodzenia życzy

Antoni Mucha

Szanowne Koleżanki i Koledzy!

Z okazji nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia pragnę złożyć serdeczne życzenia, by ten świąteczny czas upłynął w zdrowiu, szczęściu, radości i pokoju. W nadchodzącym Nowym Roku 2015 wszelkiej pomyślności, spełnienia najskrytszych marzeń oraz wielu sukcesów zarówno w życiu osobistym, jak i zawodowym Wam i Waszym rodzinom życzy

Zdzisław Drobniewski (1984)

Trzej Królowie biją głębokie pokłony, bo mały Jezus jest już narodzony. Wręczają Mu mirrę, kadzidło i złoto, a wszystko w podziękę za ten cud, bo oto zrodził się Syn Boży, Pan wszego stworzenia. Przyjmijcie z tej okazji świąteczne życzenia: zdrowia, szczęścia dostatku, wszelkiej pomyślności oraz by spokój zawsze w Waszym domu gościł.

Małgorzata i Andrzej Graliński

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia wielu głębokich i radosnych przeżyć, wewnętrznego spokoju, wytrwałości i radości oraz błogosławieństwa Bożego w każdym dniu nadchodzącego roku 2015 życzy

Zuzanna Zwoźniak (1968)

Z okazji Bożego Narodzenia oraz Nowego Roku 2015 wszystkiego najlepszego, zadowolenia, szczęścia, zdrowia oraz błogosławieństwa Bożego życzą

Barbara i Johannes Golawski

*Witaj drogi przyjacielu
Do Wrocławia jechać czas
Dziś Wigilia w Dworze Polskim
W duszy już kolęda trwa
Sala pięknie ustrojona
Stoły chwałą się bogactwem
A opłatek z talerzyka
Mruga okiem półotwartym*

*Zanim złoży nam życzenia
Zdrowia, szczęścia, pomyślności
To do stołu wpierw zaprosi
Wszystkich swoich miłych gości*

*Życzenia Świąteczne i Noworoczne składają
Albina i Bronisław Pietrasowie*

Drogie koleżanki, koledzy!

21 stycznia mija druga rocznica śmierci Ryszarda Jezierskiego. Pamiętamy w tym dniu o Nim – zapalamy znicz na oknie i wspominamy.

*Choć znowu przyszła wiosna
I słońce jasno świeci
Nie widać Ryszarda postaci
Nie słyszać Jego rozmów z dziećmi.*

*Może gdzieś żyje w oddali
W postaci obłoków na niebie
Lub kwiatów kwitnących w ogrodzie
Tuż obok Nas i Ciebie.*

*Na pewno żyje w sercach
Bliskich, rodziny przyjaciół
W kręgu życzliwych Mu ludzi
Studentów, kolegów z pracy*

Ryszardowi

Albina i Bronisław Pietrasowie

Polski Komitet Olimpijski, początki...



Tablica okolicznościowa umieszczona na bocznej fasadzie Hotelu Francuskiego w Krakowie (ul. Pijarów i św. Jana).

W październiku minęła 95. rocznica utworzenia Komitetu Udziału Polski w Igrzyskach Olimpijskich. Do spotkania władz państwowych, działaczy sportowych oraz osób zainteresowanych doszło 12 października 1919 roku w salonach Hotelu Francuskiego w Krakowie (zbiegu ulic Pijarska i św. Jana).

Powołując w/w Komitet nawiązano do wielkich tradycji polskich stowarzyszeń i organizacji sportowych, które działały u schyłku XIX i na

początku XX wieku.

Jak wielkie było zapotrzebowanie na sport i cały ruch olimpijski świadczy uznanie i zainteresowanie tą tematyką Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, który sam doceniał i promował rolę sportu i zmagani olimpijskich dla dobra odradzającego się państwa.

Zaszczytną funkcję prezesów honorowych przyjęli gen. Józef Haller i dr Tomasz Janiszewski (minister Zdrowia Publicznego). W kilka tygodni później, bo już 1 grudnia, w trakcie spotkania w Warszawie ukonstytuował się zarząd. Należeli do niego: książę Stefan Andrzej Lubomirski (prezes: 1919-23, ur. 05.05.1862, Dubrowna-Witebsk - zm. 04.06.1941, Kraków), Tadeusz Garczyński i Stanisław Polakiewicz



Książę Stefan Lubomirski pierwszy prezes PKOl

(wiceprezesa), Henryk Szot -Jeziorowski (sekretarz) i Jerzy Kowalewski (skarbnik). Członkami zostali wybrani: L. Christelbauer, S. Kopczyński, T. Kuchar, M. Orłowicz oraz W. Osmolski.

W wyniku dyskusji i ustaleń, istniejący Komitet zmienił nazwę na Polski Komitet Igrzysk Olimpijskich, by w 1925 roku przyjąć obowiązującą do dziś nazwę - **POLSKI KOMITET OLIMPIJSKI**.

Wybrany zarząd zgłosił Polskę do Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego i od początku 1920 roku utrzymywał stałe kontakty i współpracę z MKOl. Pomimo wielkich starań czysto sportowych, jak i organizacyjnych, ze względu na sytuację na froncie bolszewicko-polskim, nasza reprezentacja nie wystąpiła w igrzyskach roku 1920 (Antwerpia). Polska chcąc być obecna wzięła symboliczny udział w defiladzie sztandarów odraczając swój sportowy debiut do igrzysk w Paryżu w 1924 roku.

Dla upamiętnienia tego wydarzenia na frontonie hotelu odsłonięto w 1994 roku pamiątkową tablicę, która treścią nawiązuje do minionych wydarzeń.

„Tutaj w salonach Hotelu Francuskiego 12.X.1919 r. zawiązał się Polski Komitet Olimpijski, wprowadzając sport niepodległej Polski do światowej rodziny olimpijskiej. Ku trwałej i wdzięcznej pamięci olimpijczyków tablicę umieszczamy w 75-lecie PKOl i 100-lecie MKOl”.

Jerzy Szczygielski

Plebiscyt na najlepszego sportowca i trenera AWF



Wspólne zdjęcie władz Uczelni z nagrodzonymi

W połowie lutego miała miejsce uroczysta gala, podczas której ogłoszono wyniki XXII Plebiscytu „Życia Akademickiego” na najlepszego sportowca i trenera Akademii Wychowania Fizycznego i Klubu Sportowego AZS-AWF. Organizatorem przedsięwzięcia byli studenci Uczelni i Rady Samorządu Studenckiego, przy współpracy z Biurem ds.

Studenckich, Redakcją „Życia Akademickiego”, Centrum Informatycznym i Klubem Sportowym AZS-AWF Wrocław. Nad całością przygotowań i realizacją Balu Sportowca czuwał Prorektor ds. Studenckich i Sportu Akademickiego prof. Andrzej Rokita. Przy wypełnionej po brzegi sali, w miłej atmosferze, świętowano wyniki sportowe uzyskane przez studentów naszej Uczelni. Po uroczystym otwarciu, którego dokonał JM Rektor AWF we Wrocławiu prof. Juliusz Migasiewicz ogłoszono wyniki plebiscytu i wręczono upominki.

Tegorocznymi laureatami zostali:

1. Rafał Omelko i Łukasz Krawczuk (lekka atletyka, 400 m)
2. Justyna Kasprzycka (lekka atletyka, skok wzwyż)
3. Joanna Linkiewicz (lekka atletyka, 400 m)
4. Robert Sobera (lekka atletyka, skok o tyczce)
5. Tomasz Wawrzonowski (strzelectwo).

Tytuły Najlepszych Trenerów 2014 roku przyznano szkoleniowcom KS AZS-AWF Wrocław: Dariuszowi Łosiowi, Markowi Rożejowi, Pawłowi Koryckiemu i Dawidowi Pyrce. Ponadto przyznano nagrody specjalne, które otrzymali:

- Profesor Jan Chmura za konsekwentne dążenie do celu - „Korona Maratonów Świata”.

- Blanka Błach - Debiut Roku (szermierka, II m. w Młodzieżowych Mistrzostwach Europy).

- Aleksandra Szyrwiel za promocję dyscyplin sportu w ramach The World Games 2017.

- Maciej Kochański, Andrzej Raszowski i Paweł Falkiewicz za działalność organizacyjną na rzecz sportu. Za najpopularniejszego sportowca uznano Mateusza Głęba (Mistrza Polski w MMA). Najlepszymi trenerami w kategorii sport powszechny zostali ogłoszeni pracownicy Katedry Zespołowych Gier Sportowych: Marcin Ściślak (piłka siatkowa) i Andrzej Dudkowski (piłka ręczna). Za wydarzenie sportowe roku uznano II Dolnośląskie Święto Sportu.

Występ gimnastyczny Majki Rochewicz, reprezentantki Polski w gimnastyce artystycznej, srebrnej medalistki w Drużynowych Mistrzostwach Polski i pokaz w



Występ duetu akrobatycznego

wykonaniu duetu akrobatycznego - Monika Lis i Szymon Flisa, stanowił część artystyczną tego udanego i barwnego wydarzenia. A potem już bal niemal do białego rana.

Henryk Nawara

60 lat Kroniki Sportowej



„Kronika Sportowa” radiowej Jedynki, która jest najstarszą audycją sportową w Polsce, w listopadzie obchodziła swój jubileusz. Od 60. lat informuje słuchaczy o najważniejszych wydarzeniach sportowych. Czyni to z ogromnym

powodzeniem, budząc zainteresowanie i sympatię słuchaczy bez względu na wiek. Z okazji jubileuszu Honorowymi Odznakami Polskiego Radia nagrodzono pracujących tam od lat dziennikarzy; ponadto doceniając pracę, zaangażowanie i wiedzę wielu korespondentów, wręczono im okolicznościowe dyplomy i upominki. Miło nam poinformować, że w gronie wyróżnionych znalazł się nasz kolega Jerzy Szczygielski, który już wcześniej ze strony PKOl za swoją pracę wydawniczą i medialną (prasa, radio) otrzymał Srebrny Medal „Za zasługi Dla Polskiego Ruchu Olimpijskiego”.

Redakcja



Dyplom dla Jerzego Szczygielskiego

Wiersze

Wiersze

*

*W tygodniach poprzedzających
w grudniowe dni
ludzie "spieszą się kochać"
bo święta to tylko kilka chwil
by zabłysnąć jak choinka
potem wszystko wraca do normy*

*

*Nowy Rok wkracza dumnie
z szampańskim humorem
gwiezdny fajerwerkiem
petard hukiem
i obietnic wielkim worem*

*

Przemijanie

*czas nie umie odpoczywać
jest pracowity
nie korzysta z urlopu
i zwolnień lekarskich
wszystko pokrywa kurzem*

*też książki kupione chwilę wcześniej
kiedyś przeminą*

*

Refleksja

*jesienny las
w strumieniu liści
w blejtramie zatrzymany
obnażył
nagość wyrosłą
ze smutku*

Izabella Degen

Humor

Olejnica w anegdocie – z notatnika Henryka Nawary

Makaron

Zaproponowałem studentom zabawę integracyjną, która polegała na tym, że należało się przedstawić podając imię, następnie dać krótki opis swoich zainteresowań sportowych i kulturalnych. Wypowiedź należało zakończyć informacją jakiej się nie lubi potrawy. Standardowo wyglądało to tak: Maciek z Wielunia lubię chodzić do kina, słuchać muzyki, czytać książki, w wolnych chwilach gram na gitarze i śpiewam, nie lubię szpinaku.

Jeden ze studentów wypowiedział się w następujący sposób: Marek z Jeleniej Góry, lubię łatwe kobiety... nie lubię makaronu... i zamilkł. Widząc, że nie ma już nic więcej do powiedzenia zapytałem go: - Panie Marku, ale co pan robi w wolnym czasie? No już przecież powiedziałem - nie lubię makaronu!

Dziagle

Pewnego dnia spotkałem przypadkowo na wrocławskim rynku ciemnoskórego studenta, obcokrajowca z Ghany, który studiował przed laty na naszej uczelni.

- How are you? - Zagadnąłem go nie będąc pewnym czy mnie jeszcze pamięta.

- „Oooo...!” - zawołał ucieszony - Pan Nawara!

Po krótkiej wymianie zdań zapytałem go, czy pamięta swój pobyt na obozie w Olejnicy.

- „Ociwiście” - odparł i dodał: „śpiewałem na wieczorku piosenkę: „Jizius Maria, jak mnie jest zimno...”

- A pamięta pan innych prowadzących i swoje ulubione zajęcia?

- „Ociwiście” pomyślał chwilę i krzyknął: - Docienta Jezierska! Dziagle!

Anegdoty

Egzamin

Po kilkunastominutowej pogawędce profesor Antoni Szymański zaczyna egzaminować studenta zadając mu problemowe pytanie:

- Twoi chłopcy grają mecz w piłkę ręczną. Jeden drugiego kopnął w d..., Co zrobisz w tej sytuacji?

- Zależy kogo kopnął... swojego, czy przeciwnika...

- Nieważne...

- Sędzia powinien odgwizdać przewinienie...
- Zła odpowiedź – mruczy niezadowolony profesor.

Sytuacja wymyka się spod kontroli.
Tonący chwytą się brzytwy, trzeba szybko coś dopowiedzieć. Student myśli intensywnie i po chwili dorzuca:

- Wołam go do siebie, kopię go w d... i pytam jak się teraz czuje?

Profesor zadowolony kiwa głową i mówi:

– Masz rację młody człowieku, najpierw wychowywać, a potem grać!



Krótką piłka

Zaciekły wróg nikotyny, profesor Antoni Szymański, łapie w szatni na gorącym uczynku naszego kolegę ze studiów - Mariana Świtonia.

- Ojciec pracuje?
- Tak, pracuje.
- Matka pracuje?
- Tak, pracuje.
- Stypendium masz?
- Mam.
- To już nie masz!

Adam Rydziński

Terminarz spotkań organizowanych przez Zarząd Stowarzyszenia w roku 2015

* 29 maja 2015 (piątek) – godz. 17.00, ul. Witelona 25
Słoneczny piknik pod kasztanami

20 października 2015 (wtorek) – godz. 18.00, Dwór Polski
Spotkanie lekkoatletów

* 24 listopada 2015 (wtorek) – godz. 18.00, Dwór Polski
Statutowe Zebranie Sprawozdawczo-Wyborcze Stowarzyszenia Absolwentów AWF Wrocław

* 13 grudnia 2015 (niedziela) – godz. 17.00, Dwór Polski
Spotkanie Oplatkowe

* 12 stycznia 2016 (wtorek) – godz. 18.00, Dwór Polski
Wieczór Kolęd



WESOŁYCH ŚWIĄT

*Pogodnych, spokojnych, spędzonych w gronie
najbliższych sercu osób ... i oczywiście smacznych
życzy*

Zarząd Stowarzyszenia Absolwentów

Biuletyn Absolwenta (63)

Kolegium redakcyjne: Halina Jezierska, Zbigniew Najsarek, Henryk Nawara,
Henryk Sienkiewicz

Konto bankowe: 73 1950 0001 2006 0778 4196 0002

Konto dla abs. za granicą: IEEAPLPA 73 1950 0001 2006 0778 4196 0002

Adres: Stowarzyszenie Absolwentów, Akademia Wychowania Fizycznego
ul. Witelona 25, 51-617 Wrocław, tel. (71) 347-31-23

Internet: <http://absolwenci.awf.wroc.pl/>

e-mail: stow.absolwentow@awf.wroc.pl

Dyżury: sekretariat Stowarzyszenia - ul. Witelona 25
wtorki i czwartki godz. 11.00 - 12.30